

Ks. Elia Comini: kapłan męczennik z Monte Sole

18 grudnia 2024 roku papież Franciszek oficjalnie uznał męczeństwo ks. Elii Cominiego (1910-1944), salezjanina św. Jana Bosko, który zostanie beatyfikowany. Jego imię dołączy do imion innych kapłanów – jak ks. Giovanni Fornasini, beatyfikowany 2021 roku – którzy padli ofiarą brutalnej przemocy nazistowskiej w rejonie Monte Sole, na wzgórzach bolońskich, podczas II wojny światowej. Beatyfikacja ks. Elii Cominiego to nie tylko wydarzenie o niezwykłym znaczeniu dla Kościoła bolońskiego i Rodziny Salezjańskiej, ale także powszechne zaproszenie do odkrycia wartości chrześcijańskiego świadectwa: świadectwa, w którym miłość, sprawiedliwość i współczucie przewyższają wszelkie formy przemocy i nienawiści.

Z Apeninów na dziedzińce salezjańskie

Ks. Elia Comini urodził się 7 maja 1910 roku w przysiółku „Madonna del Bosco” w Calvenzano di Vergato, w prowincji Bolonii. Jego dom rodzinny sąsiaduje z małym sanktuarium maryjnym, poświęconym Matki Bożej „del Bosco” i ten silny ślad obecności Maryi towarzyszył mu przez całe życie.

Jest drugim dzieckiem Claudio i Emmy Limoni, którzy pobrali się w kościele parafialnym w Salvaro 11 lutego 1907 roku. Rok później urodził się ich pierworodny Amleto. Dwa lata później na świat przyszedł Elia. Chrzest otrzymał dzień po narodzinach – 8 maja – w parafii Sant’Apollinare w Calvenzano, gdzie otrzymał również imiona „Michele” i „Giuseppe”.

Gdy miał siedem lat, rodzina przeniosła się do przysiółka „Casetta” w Pioppe di Salvaro w gminie Grizzana. W 1916 roku Elia zaczyna szkołę: uczęszcza do pierwszych trzech klas szkoły podstawowej w Calvenzano. W tym okresie przyjmuje również Pierwszą Komunię. Jeszcze jako dziecko wykazuje duże zaangażowanie w katechizację i liturgię. Sakrament Bierzmowania przyjmuje 29 lipca 1917 roku. W latach 1919-1922

Elia poznaje pierwsze elementy duszpasterstwa w *szkole ognia* u ks. Fidenzio Melliniego, który jako młody człowiek znał Księdza Bosko, który przepowiedział mu kapłaństwo. W 1923 roku ks. Mellini kieruje zarówno Elię, jak i jego brata Amleta do Salezjanów w Finale Emilia, a obaj skorzystają z pedagogicznego charyzmatu świętego młodzieży: Amleto jako nauczyciel i „przedsiębiorca” w dziedzinie edukacji; Elia jako salezjanin św. Jana Bosko.

Nowicjusz od 1 października 1925 roku w San Lazzaro di Savena, Elia Comini traci ojca 14 września 1926 roku, na kilka dni (3 października 1926) przed swoją Pierwszą Profesją zakonną, którą odnawia aż do Profesji wieczystej, 8 maja 1931 roku, w rocznicę chrztu, w Instytucie „San Bernardino” w Chiari. W Chiari będzie również „asystentem” w Instytucie Salezjańskim „Rota”. 23 grudnia 1933 roku przyjmuje niższe święcenia ostiariatu i lektoratu; egzorcystatu i akolitu 22 lutego 1934 roku. Otrzymuje subdiakoniat 22 września 1934 roku. Wyświęcony na diakona w katedrze w Brescii 22 grudnia 1934 roku, ks. Elia otrzymuje święcenia prezbiteratu przez nałożenie rąk biskupa Brescii ks. Giacinto Tredici 16 marca 1935 roku, mając zaledwie 24 lata: następnego dnia odprawia Mszę Świętą w Instytucie salezjańskim „San Bernardino” w Chiari. 28 lipca 1935 roku celebrowe Mszę Prymicyjną w Salvaro.

Zapisany na wydziale Filologii Klasycznej i Filozofii ówczesnego Uniwersytetu Królewskiego w Mediolanie, zyskuje sobie sympatię uczniów, zarówno jako nauczyciel, jak i ojciec i przewodnik duchowy: jego charakter, poważny, ale nie sztywny, przynosi mu szacunek i zaufanie. Ks. Elia jest również wybitnym muzykiem i humanistą, który potrafi docenić „piękne rzeczy”. W swoich pracach wielu uczniów, oprócz realizacji tematu, otwiera swoje serca przed księdzem Elią, dając mu w ten sposób okazję do towarzyszenia im i kierowania nimi. O księdzu Elii jako salezjaninie mówi się, że był jak kura z pisklętami wokół („Na ich twarzach widać było całą radość słuchania go: wydawali się jak stado piskląt wokół kury”): wszyscy blisko niego! Ten obraz przywołuje Mt 23,37 i

wyraża jego skłonność do gromadzenia ludzi, aby ich rozweselić i chronić.

Ksiądz Elia uzyskuje dyplom 17 listopada 1939 roku z Filologii Klasycznej z pracą na temat *De resurrectione carnis Tertuliana*, promotorem był profesor Luigi Castiglioni (znany łacinnik oraz współautor słynnego słownika łacińskiego „Castiglioni-Mariotti”): zatrzymując się na słowach *resurget igitur caro*, ks. Elia komentuje, że jest to pieśń zwycięstwa po długiej i wyczerpującej bitwie.

Podróż bez powrotu

Gdy brat Amleto przenosi się do Szwajcarii, matka – Emma Limoni – zostaje sama w Apeninach: dlatego ks. Elia, w pełnej zgodzie z przełożonymi, poświęci dla niej co roku swoje wakacje. Gdy wraca do domu, pomaga matce, ale – jako kapłan – przede wszystkim angażuje się w lokalne duszpasterstwo, wspierając ks. Melliniego.

Za zgodą przełożonych, a w szczególności inspektora, księdza Francesco Rastello, ks. Elia wraca do Salvaro latem 1944 roku: w tym roku ma nadzieję, że uda mu się ewakuować matkę z obszaru, gdzie w niedalekiej odległości siły alianckie, partyzanci i oddziały nazistowsko-faszystowskie stworzyły sytuację szczególnego zagrożenia. Ks. Elia jest świadomy niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą opuszczenie Treviglio, aby udać się do Salvaro, a jeden ze współbraci, ks. Giuseppe Bertolli SDB, wspomina: *żegnając go, powiedziałem, że taka podróż mogła być również bez powrotu; zapytałem go również, oczywiście żartując, co by mi zostawił, gdyby nie wrócił; odpowiedział mi w tym samym tonie, że zostawiłby mi swoje książki...; potem już go nie widziałem*. Ks. Elia był już świadomy, że zmierza w kierunku „oka cyklonu” i nie szukał w domu salezjańskim (gdzie mógłby pozostać) formy ochrony: *Ostatnie wspomnienie, jakie mam o nim, sięga lata 1944 roku, kiedy, w związku z wojną, wspólnota zaczęła się rozpraszać; wciąż słyszę moje słowa, które życzliwie kierowałem do niego, z niemal żartobliwym tonem, przypominając mu, że w tych ciemnych czasach, które mieliśmy stawić czoła, powinien czuć*

się uprzywilejowany, ponieważ na dachu Instytutu narysowano białą krzyż, a nikt nie miałby odwagi go zbombardować. On jednak, jak prorok, odpowiedział mi, żebym uważał, bo podczas wakacji mogłem przeczytać w gazetach, że ks. Elia Comini zginął heroicznie w wypełnianiu swojego obowiązku. Wrażenie niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, było żywe w każdym, skomentował jeden z braci.

W trakcie podróży do Salvaro ks. Comini zatrzymuje się w Modenie, gdzie odnosi poważną ranę w nogę: według jednej wersji, w wyniku zderzenia między pojazdem a przechodniem, zapobiegając w ten sposób poważniejszemu wypadkowi; według innej, pomagając pewnemu mężczyźnie pchać wózek. W każdym razie, za pomoc bliźniemu. Dietrich Bonhoeffer napisał: *Kiedy szalencie wjeżdża swoim samochodem na chodnik, jako pastor nie mogę zadowolić się tylko grzebaniem zmarłych i pocieszaniem rodzin. Muszę, jeśli jestem w tym miejscu, skoczyć i chwycić kierowcę za kierownicę.*

Wypadek w Modenie wyraża, w tym sensie, postawę ks. Elii, która w Salvaro, w kolejnych miesiącach, jeszcze bardziej się uzewnętrznia: interweniować, mediować, przybywać osobiście, narażać swoje życie dla braci, zawsze świadomy ryzyka, jakie to niesie, i spokojnie gotowy ponieść konsekwencje.

Pasterz na froncie wojennym

Kulejący, przybywa do Salvaro o zmierzchu 24 czerwca 1944 roku, opierając się, jak może, na kiju: niezwykle narzędzie dla 34-letniego młodzieńca! Znajduje plebanie przekształconą: ks. Mellini gości tam dziesiątki osób, należących do rodzin uchodźców; ponadto, 5 sióstr Służebnic Najświętszego Serca, odpowiedzialnych za przedszkole, w tym siostra Alberta Taccini. Starszy, zmęczony i wstrząśnięty wydarzeniami wojennymi, tego lata ks. Fidenzio Mellini ma trudności z podejmowaniem decyzji, stał się bardziej kruchy i niepewny. Ks. Elia, który zna go od dziecka, zaczyna mu we wszystkim pomagać i trochę przejmuje sytuację. Rana w nodze uniemożliwia mu również ewakuację matki: ks. Elia pozostaje w Salvaro i, kiedy może już dobrze chodzić, zmienione okoliczności i

rosnące potrzeby duszpasterskie sprawiają, że tam zostaje. Ks. Elia ożywia duszpasterstwo, prowadzi katechizację, zajmuje się osieroconymi, pozostawionymi samym sobie. Przyjmuje również uchodźców, pociesza przerażonych, kieruje nieostrożnych. Obecność ks. Elii staje się jednocząca, jest dobrym znakiem w tych dramatycznych chwilach, gdy relacje międzyludzkie są rozrywane przez podejrzenia i przeciwieństwa. Ofiaruje na służbę wielu ludzi swoje umiejętności organizacyjne i praktyczną inteligencję, wykształcone przez lata życia salezjańskiego. Píše do brata Amleta: *Oczywiście są to dramatyczne chwile, a gorsze się zapowiadają. Wszystko pokładamy w łasce Bożej i w ochronie Matki Bożej, którą musicie wzywać za nas. Mam nadzieję, że jeszcze uda mi się przekazać wam nasze wieści.*

Niemcy z Wehrmachtu kontrolują teren, a na wzgórzach znajduje się brygada partyzancka „Czerwona Gwiazda”. Ks. Elia Comini pozostaje postacią obcą wszelkim roszczeniom czy partyzanckim działaniom: jest kapłanem i stawia na ostrożność i pojednanie. Mówił do partyzantów: *Chłopcy, uważajcie, co robicie, bo niszczyście ludność...*, narażając się na represje. Oni go szanują i w lipcu oraz wrześniu 1944 roku poproszą o Msze w parafii w Salvaro. Ks. Elia zgadza się, schodząc do partyzantów i odprawiając bez ukrywania się, unikając natomiast wchodzenia w strefę partyzancką i preferując – jak zawsze w tym lecie – pozostanie w Salvaro lub w pobliskich rejonach, nie ukrywając się ani nie przyjmując „dwuznacznych” postaw w oczach nazistów i faszystów.

27 lipca ks. Elia Comini pisze ostatnie linijki swojego *Dziennika duchowego*: *27 lipca: znajduję się dokładnie w środku wojny. Tęsknię za moimi braćmi i moim domem w Treviglio; gdybym mógł, wróciłbym jutro.*

Od 20 lipca dzielił braterstwo kapłańskie z ojcem Martino Capelli, sercaninem, urodzonym 20 września 1912 roku w Nembro w Bergamo, który był wykładowcą Pisma Świętego w Bolonii, także gościem ks. Melliniego i pomagającym w duszpasterstwie. Elia i Martino to dwaj uczeni w dziedzinie języków starożytnych, którzy teraz muszą zająć się bardziej

praktycznymi i materialnymi sprawami. Plebania ks. Melliniego staje się tym, co ks. Luciano Gherardi później nazwał „wspólnotą arki”, miejscem, które przyjmuje, aby ratować. Ojciec Martino był zakonnikiem, który zapalił się, gdy usłyszał o męczennikach meksykańskich i pragnął być misjonarzem w Chinach. Elia, od młodości, jest prześladowany przez dziwną świadomość „muszenia umrzeć” i już w wieku 17 lat napisał: *Wciąż utrzymuje się we mnie myśl, że muszę umrzeć! – Kto wie?! Postępujemy jak wierny sługa: zawsze gotowy na wezwanie, aby „zdać sprawę” z zarządzania.*

24 lipca ks. Elia rozpoczyna katechezę dla dzieci przygotowujących się do Pierwszej Komunii, zaplanowanej na 30 lipca. 25 lipca rodzi się dziewczynka w chrzcielnicy (wszystkie przestrzenie, od zakrystii po kurnik, były przepełnione) i wiesza się różową wstążką. Przez cały sierpień 1944 roku żołnierze Wehrmachtu stacjonują przy plebanii ks. Melliniego i na przestrzeni przed nią. Wśród Niemców, uchodźców, osób konsekrowanych... napięcie mogło wybuchnąć w każdej chwili: ks. Elia mediował i zapobiegał nawet w drobnych sprawach, na przykład pełniąc rolę „amortyzatora” między zbyt głośnym dźwiękiem radia Niemców a cierpliwością ks. Melliniego, która była już zbyt krótka. Było też trochę Różańca odmawianego wspólnie. Ksiądz Angelo Carboni potwierdza: *Wciąż mając na celu pocieszenie Księdza Proboszcza, ks. Elia bardzo starał się przeciwstawić oporowi grupy Niemców, którzy, osiedliwszy się w Salvaro 1 sierpnia, chcieli zająć różne pomieszczenia plebanii, odbierając wszelką wolność i wygodę rodzinom i uchodźcom tam goszczonym. Po umieszczeniu Niemców w archiwum proboszcza, znowu zaczęli przeszkadzać, zajmując swoimi wozami dużą część placu przed kościołem; w jeszcze bardziej uprzejmy sposób i przekonywującymi słowami, ks. Elia uzyskał również tę inną wolność dla pocieszenia proboszcza, który z powodu opresji był zmuszony do odpoczynku. W tych tygodniach, salezjanin jest stanowczy w ochronie prawa ks. Melliniego do poruszania się z pewnym komfortem w swoim własnym domu, a także prawa uchodźców do niebycia usuwanymi z plebanii: jednak uznaje pewne potrzeby*

żołnierzy Wehrmachtu, co przyciąga ich życzliwość do ks. Melliniego, którego żołnierze niemieccy nazwą dobrym pasterzem. Od Niemców, ks. Elia uzyskuje jedzenie dla uchodźców. Ponadto, śpiewa, aby uspokoić dzieci i opowiada historie z życia Księdza Bosko. W lato naznaczonym zabójstwami i represjami, z księdzem Elią niektórzy cywile nawet posłuchają trochę muzyki, oczywiście emitowanej przez radio Niemców, i komunikują się z żołnierzami poprzez krótkie gesty. Ks. Rino Germani SDB, wicepostulator procesu, stwierdza: *Między dwiema walczącymi siłami wkracza nieustanna i mediacyjna praca Sługi Bożego. Kiedy zachodzi potrzeba, staje przed dowództwem niemieckim i z grzecznością oraz przygotowaniem udaje mu się zdobyć szacunek niektórych oficerów. W ten sposób wiele razy udaje mu się uniknąć represji, rabunków i żalu.* Po uwolnieniu plebanii od stałej obecności Wehrmachtu 1 września 1944 roku – 1 września Niemcy uwolnili strefę Salvaro, tylko niektórzy pozostali jeszcze przez kilka dni w domu Fabbri – życie w Salvaro może odetchnąć z ulgą. Ks. Elia Comini tymczasem kontynuuje inicjatywy apostołskie, wspierany przez innych księży i siostry. Podczas gdy jednak ojciec Martino przyjmuje kilka zaproszeń do głoszenia gdzie indziej i udaje się w góry, gdzie jego jasne włosy przysparzają mu dużych kłopotów z partyzantami, którzy podejrzewają go o bycie Niemcem, ks. Elia pozostaje zasadniczo na miejscu. 8 września pisze do dyrektora salezjańskiego domu w Treviglio: *Pozwól, że wyobrazisz sobie nasz stan ducha w tych chwilach. Przeszliśmy przez bardzo ciemne i dramatyczne dni. [...] Moje myśli są zawsze z tobą i z drogimi współbraćmi tam. Czuję bardzo silną tęsknotę.*

Od 11 września głosi rekolekcje dla sióstr na temat rzeczy ostatecznych, ślubów zakonnych i życia Pana Jezusa. Cała ludność – zadeklarowała jedna z konsekrowanych – kochała księdza Elię, także dlatego, że nie wahał się poświęcać dla wszystkich, w każdej chwili; nie prosił tylko ludzi o modlitwę, ale dawał im dobry przykład swoją pobożnością i tym małym apostołstwem, które, biorąc pod uwagę okoliczności, było

możliwe do wykonania. Doświadczenie rekolekcji nadaje nowy dynamizm całemu tygodniowi i angażuje zarówno konsekrowanych, jak i świeckich. Wieczorami ks. Elia gromadzi 80-90 osób: starano się złagodzić napięcie odrobiną radości, dobrymi przykładami, miłością. W tych miesiącach zarówno on, jak i ojciec Martino, jak i inni kapłani: przede wszystkim ks. Giovanni Fornasini, byli na pierwszej linii w wielu dziełach miłosierdzia.

Masakra w Monte Sole

Najbrutalniejsza i największa zbrodnia dokonana przez nazistowskie SS w Europie podczas wojny 1939-45 miała miejsce wokół Monte Sole, w rejonach Marzabotto, Grizzana Morandi i Monzuno, chociaż powszechnie znana jest jako „masakra w Marzabotto”.

Między 29 września a 5 października 1944 roku zginęło 770 osób, ale ogółem liczba ofiar Niemców i Faszystów, od wiosny 1944 roku do wyzwolenia, wyniosła 955, rozłożona na 115 różnych lokalizacji na rozległym terytorium obejmującym gminy Marzabotto, Grizzana i Monzuno oraz niektóre fragmenty sąsiednich terenów. Wśród nich 216 to dzieci, 316 to kobiety, 142 to osoby starsze, 138 to ofiary uznane za partyzantów, pięciu to kapłani, których winą w oczach Niemców było to, że byli blisko ludności Monte Sole, modląc się i udzielając pomocy materialnej w tragicznych miesiącach wojny i okupacji wojskowej. Wraz z księdzem Elią Cominim, salezjaninem, i ojcem Martino Capellim, sercaninem, w tych tragicznych dniach zginęło także trzech kapłanów Archidiecezji Bolonii: ks. Ubaldo Marchioni, ks. Ferdinando Casagrande, ks. Giovanni Fornasini. Wobec wszystkich pięciu toczy się proces beatyfikacyjny. Ks. Giovanni, „Anioł z Marzabotto”, zginął 13 października 1944 roku. Miał dwadzieścia dziewięć lat, a jego ciało pozostało niepochowane aż do 1945 roku, kiedy to zostało odnalezione mocno zmasakrowane; został beatyfikowany 26 września 2021 roku. Ks. Ubaldo zginął 29 września, zastrzelony z karabinu maszynowego na stopniu ołtarza swojej kościoła w Casaglii; miał 26 lat, został wyświęcony na kapłana dwa lata

wcześniej. Niemieccy żołnierze znaleźli jego i wspólnotę modlących się na różańcu. Został tam zabity, u stóp ołtarza. Inni – ponad 70 – na pobliskim cmentarzu. Ks. Ferdinando został zabity 9 października, strzałem w tył głowy, razem z siostrą Giulią; miał 26 lat.

Od Wehrmachtu do SS

25 września Wehrmacht opuszcza te tereny i przekazuje dowództwo 16. Batalionowi 16. Dywizji Pancernej „Reichsführer-SS”, dywizji, która zawierała elementy Dywizji Pancernej „Totenkopf – Czaszka” i była obecna w Sant’Anna di Stazzema (Lucca) od 12 sierpnia 1944 roku; w San Terenzo Monti (Massa-Carrara, w Lunigianie) od 17. tego miesiąca; w Vinca i okolicach (Massa-Carrara, w Lunigianie u stóp Alp Apuan) od 24 do 27 sierpnia.

25 września SS ustanawiają „Wysokie Dowództwo” w Sibano. 26 września przenoszą się do Salvaro, gdzie jest także ks. Elia: strefa poza obszarem bezpośrednich wpływów partyzanckich. Surowość dowódców w dążeniu do całkowitego lekceważenia życia ludzkiego, przyzwyczajenie do kłamstw na temat losu cywilów i paramilitarna struktura – która chętnie sięgała po techniki „spalonej ziemi”, w pogardzie dla jakiegokolwiek kodeksu wojennego czy legitymacji rozkazów wydawanych z góry – czyniła z nich oddział śmierci, który nie pozostawiał niczego nietkniętego na swojej drodze. Niektórzy otrzymali szkolenie o wyrażnie koncentracyjnym i eliminacyjnym charakterze działań, mające na celu: tłumienie życia, w celach ideologicznych; nienawiść wobec tych, którzy wyznawali wiarę żydowsko-chrześcijańską; pogardę dla małych, biednych, starszych i słabych; prześladowanie tych, którzy sprzeciwiali się aberracjom narodowego socjalizmu. Istniał prawdziwy „katechizm” – antychrześcijański i antykatolicki – którym młodzi z SS byli przesiąknięci.

Kiedy myśli się, że młodzież nazistowska była kształtowana w pogardzie dla ludzkiej osobowości Żydów i innych 'niewybranych' ras, w fanatycznym kulcie rzekomej absolutnej narodowej wyższości, w micie twórczej przemocy i 'nowych

broni' przynoszących sprawiedliwość na świecie, rozumie się, gdzie były korzenie aberracji, ułatwione przez atmosferę wojny i strach przed rozczarowującą klęską.

Ks. Elia Comini – z ojcem Capellim – spieszy, aby pocieszyć, uspokoić, zachęcić. Decyduje, że w plebanii przyjmowani będą przede wszystkim ocaleni z rodzin, w których Niemcy zabili w odwecie. W ten sposób ratuje ocalałych przed niebezpieczeństwem znalezienia śmierci wkrótce potem, ale przede wszystkim wyrywa ich – przynajmniej w miarę możliwości – z tej spirali samotności, rozpacz i utraty woli życia, która mogłaby się nawet przełożyć na pragnienie śmierci. Udaje mu się również rozmawiać z Niemcami i, przynajmniej w jednym przypadku, powstrzymać SS od ich zamiaru, każąc im przejść dalej i tym samym mogąc później ostrzec uchodźców, aby opuścili swoje ukrycie.

Wicepostulator ks. Rino Germani SDB pisze: *Przybywa ks. Elia. Uspokaja ich. Mówi im, aby wyszli, bo Niemcy odeszli. Rozmawia z Niemcami i każe im iść dalej.*

Zostaje zabity Paolo Calanchi, człowiek, którego sumienie nic nie wyrzuca i który popełnia błąd, nie uciekając. Tu znów ks. Elia spieszy, zanim płomienie zajmą jego ciało, próbując przynajmniej uhonorować jego szczątki, nie zdążywszy uratować mu życia: *Ciało Paolo zostaje uratowane z płomieni przez księdza Elię, który, ryzykując własne życie, zbiera je i przenosi w wózku do kościoła w Salvaro.*

Córka Paolo Calanchiego zeznała: *Mój ojciec był dobrym i uczciwym człowiekiem [„w czasach kartki na chleb i głodu dawał chleb tym, którzy go nie mieli”] i odmówił ucieczki, czując się spokojny wobec wszystkich. Został zabity przez Niemców, rozstrzelany, w odwecie; później jego dom również został podpalony, ale ciało mojego ojca zostało uratowane z płomieni przez Księdza Cominiego, który, ryzykując własne życie, zebrał je i przetransportował w wózku do kościoła w Salvaro, gdzie, w trumnie zbudowanej przez niego z desek, został pochowany na cmentarzu. Tak, dzięki odwadze Księdzu Cominim i, bardzo prawdopodobnie, także Ojcu Martino, po zakończeniu wojny, ja i moja matka mogliśmy odnaleźć i przenieść trumnę naszego*

drogiego ojca na cmentarz w Vergato, razem z trumną mojego brata Gianluigiego, który zmarł 40 dni później, przekraczając front.

Kiedyś ks. Elia powiedział o Wehrmachcie: *Musimy kochać także tych Niemców, którzy przychodzą nas niepokoić*.. Kochał wszystkich bez preferencji. Posługa ks. Elia była bardzo cenna dla Salvaro i wielu uchodźców w tych dniach. Świadkowie opowiadali: *Ks. Elia był naszym szczęściem, ponieważ mieliśmy zbyt starego i słabego proboszcza. Cała ludność wiedziała, że ks. Elia był zainteresowany nami; ks. Elia pomagał wszystkim. Można powiedzieć, że widzieliśmy go codziennie. Odprawiał Mszę, ale potem często był na placu przed kościołem, obserwując: Niemcy byli u dołu, w stronę Renu; partyzanci przychodzili z góry, w kierunku Creda. Pewnego razu – na przykład – (kilka dni przed 26 września) przyszli partyzanci. Wychodziliśmy z kościoła w Salvaro, a tam byli partyzanci, wszyscy uzbrojeni; a ks. Elia bardzo się upominał, aby odeszli, aby uniknąć kłopotów. Posłuchali go i odeszli. Prawdopodobnie, gdyby nie on, to, co wydarzyło się później, wydarzyłoby się znacznie wcześniej; Z tego, co mi wiadomo, ks. Elia był „duszą” sytuacji, ponieważ swoją osobowością potrafił trzymać w ryzach wiele rzeczy, które w tych dramatycznych momentach miały kluczowe znaczenie.*

Mimo że był młodym kapłanem, ks. Elia Comini był osobą godną zaufania. Ta jego godność zaufania, połączona z głęboką prawością, towarzyszyła mu od zawsze, nawet jako kleryk, co wynika z jednego ze świadectw: *Miałem go przez cztery lata w Rota, od 1931 do 1935 roku, i, mimo że był jeszcze klerykiem, dał mi pomoc, której trudno byłoby mi znaleźć u innego starszego współbrata.*

Triduum paschalne

Sytuacja jednak pogarsza się po kilku dniach, 29 września rano, kiedy SS dokonują straszliwej rzezi w przysiółku Creda. Sygnałem do rozpoczęcia rzezi są biały i czerwony rakietowy sygnał w powietrzu: zaczynają strzelać, karabiny maszynowe trafiają w ofiary, które są zablokowane przy portyku i

praktycznie bez drogi ucieczki. Następnie rzuca się granaty ręczne, niektóre zapalające, a stajnia – gdzie niektórzy zdołali znaleźć schronienie – płonie. Kilku mężczyzn, wykorzystując chwilę nieuwagi SS w tym piekle, rzuca się w dół w kierunku lasu. Attilio Comastri, ranny, ratuje się, ponieważ martwe ciało jego żony Ines Gandolfi stanowiło dla niego osłonę: będzie wędrował przez dni, w stanie szoku, aż uda mu się przejść przez front i ocalić życie; stracił, oprócz żony, siostrę Marcellinę i córkę Biankę, która miała zaledwie dwa lata. Carlo Cardi również zostaje ocalony, ale jego rodzina zostaje wymordowana: Walter Cardi miał tylko 14 dni, był najmłodszą ofiarą rzezi w Monte Sole. Mario Lippi, jeden z ocalałych, potwierdza: *Nie wiem sam, jak cudownie się uratowałem, ponieważ z 82 osób zgromadzonych pod portykiem, 70 zostało zabitych* [69, według oficjalnej wersji]. *Pamiętam, że oprócz ognia z karabinów maszynowych, Niemcy rzucili na nas także granaty ręczne i sądzę, że to niektóre odłamki z nich lekko zraniły mnie w prawy bok, w plecy i w prawą rękę. Ja, razem z innymi siedmioma osobami, korzystając z tego, że z jednej strony portyku były drzwiczki prowadzące na ulicę, uciekłem w kierunku lasu. Niemcy, widząc nas uciekających, strzelali za nami, zabijając jednego z nas, o imieniu Emilio Gandolfi. Podkreślam, że wśród 82 osób zgromadzonych pod wspomnianym portykiem było także około dwudziestu dzieci, w tym dwoje w pieluchach, na rękach swoich matek, oraz około dwudziestu kobiet.*

W Creda jest 21 dzieci poniżej 11 roku życia, niektóre bardzo małe; 24 kobiety (w tym jedna nastolatka); prawie 20 „starszych”. Wśród najbardziej dotkniętych rodzin są Cardi (7 osób), Gandolfi (9 osób), Lolli (5 osób), Macchelli (6 osób).

Z plebanii ks. Melliniego, patrząc w górę, w pewnym momencie widać dym: ale jest wcześnie rano, Creda pozostaje ukryta dla wzroku, a las tłumi hałasy. W parafii tego dnia – 29 września, w święto Świętych Archaniołów – odprowadzane są trzy Msze, wczesnym rankiem, jedna po drugiej: jedna ks. Melliniego; druga ojca Capelliego, który następnie udaje się do przysiółka Casellina, aby udzielić ostatniego namaszczenia;

trzecia ks. Cominiego. I wtedy dramat puka do drzwi: *Ferdinando Castori*, który również uszedł z rzezi, dotarł do kościoła w Salvaro umazany krwią jak rzeźnik i poszedł się schować w szczycie dzwonnicy. Około godziny 8 do plebanii przybywa wstrząśnięty mężczyzna: wyglądał jak potwór o przerażającym wyglądzie, mówi siostra Alberta Taccini. Prosi o pomoc dla rannych. Około siedemdziesięciu osób zginęło lub umiera w strasznych mękach. Ks. Elia w ciągu kilku chwil wpada na pomysł, aby ukryć 60/70 mężczyzn w zakrystii, pchając na drzwi stary kredens, który pozostawiał próg widoczny od dołu, ale był mimo to jedyną nadzieją na ocalenie: Wtedy to ks. Elia miał pomysł, aby ukryć mężczyzn obok zakrystii, a następnie postawić kredens przed drzwiami (pomogły mu jedna lub dwie osoby, które były w domu proboszcza). Pomysł był księdza Elii; ale wszyscy byli przeciwni temu, aby to ks. Elia wykonał tę pracę... On tego chciał. Inni mówili: „A jeśli nas odkryją?”. Inna rekonstrukcja: Księdzu Elii udało się ukryć w pomieszczeniu przylegającym do zakrystii około sześćdziesięciu mężczyzn, a na drzwi pchnął stary kredens. Tymczasem trzask karabinów maszynowych i rozpaczliwe krzyki ludzi dochodziły z pobliskich domów. Ks. Elia miał siłę, aby rozpocząć Świętą Ofiarę Mszy, ostatnią w swoim życiu. Nie zdążył jeszcze skończyć, gdy przerażony i zdyszany młody człowiek z przysiółka Creda przyszedł prosić o pomoc, ponieważ SS otoczyły dom i aresztowały sześćdziesiąt dziewięć osób, mężczyzn, kobiet, dzieci.

Wciąż w szatach liturgicznych, **leżąc przed ołtarzem, zanurzony w modlitwie**, wzywa dla wszystkich pomocy Najświętszego Serca, wstawiennictwa Maryi Wspomożycielki, św. Jana Bosko i św. Michała Archanioła. Następnie, po krótkim rachunku sumienia, odmawia trzy razy akt żalu, przygotowując ich do śmierci. Poleca opiece sióstr wszystkie te osoby oraz przełożonej, aby mocno prowadziła modlitwę, aby wierni mogli znaleźć w niej pocieszenie, którego potrzebują.

U księdza Elii i ojcu Martino, który wrócił niedługo potem, stwierdza się pewne wymiary kapłańskiego życia ofiarowanego świadomie dla innych aż do ostatniej chwili: ich śmierć była

przedłużeniem w darze życia Mszy odprawianej aż do ostatniego dnia". Ich wybór miał „głębokie korzenie w decyzji czynienia dobra, nawet jeśli byłoby to w ostatniej godzinie, byli gotowi także na męczeństwo: wiele osób przyszło szukać pomocy w parafii i, przy niewiedzy proboszcza, Ksiądz Elia i Ojciec Martino starali się ukryć jak najwięcej osób; potem upewniwszy się, że są w jakiś sposób zaopiekowane, pobiegli na miejsce rzezi, aby móc pomóc także najnieszczęśliwszym; sam ks. Mellini nie zdawał sobie z tego sprawy i wciąż szukał dwóch księży, aby uzyskać pomoc w przyjęciu całej tej ludności („Mamy pewność, że nikt z nich nie był partyzantem ani nie był z partyzantami”).

W tych momentach ks. Elia wykazuje wielką jasność umysłu, która przejawia się zarówno w duchu organizacyjnym, jak i w świadomości narażania własnego życia: W świetle tego wszystkiego, a ks. Elia dobrze o tym wiedział, nie możemy więc szukać tej miłości, która skłania do próby pomocy innym, ale raczej tego rodzaju miłości (która była tą samą, co u Chrystusa), która **skłania do pełnego uczestnictwa w cierpieniu innych**, nie bojąc się nawet śmierci jako jej ostatecznej manifestacji. Fakt, że **jego wybór był jasny i dobrze przemyślany**, potwierdza również duch organizacyjny, który przejawiał aż do kilku minut przed śmiercią, próbując z szybkością i inteligencją ukryć jak najwięcej osób w ukrytych pomieszczeniach plebanii; potem wiadomość o Creda i, po braterskiej miłości, miłości heroicznej...

Jedno jest pewne: gdyby ks. Elia ukrył się z wszystkimi innymi mężczyznami lub chociaż pozostał obok ks. Melliniego, nie miałby się czego obawiać. Zamiast tego ksiądz Elia i ojciec Martino wzięli stulę, święte oleje i kustodię z kilkoma konsekrowanymi Hostami wyruszyli w góry, uzbrojeni w stulę i olej chorych: Kiedy ks. Elia wrócił po wizycie u Monsignore, wziął **naczynie z Hostami i Świętym Olejem** i zwrócił się do nas: jeszcze to oblicze! Było tak blade, że wyglądało jak oblicze umarłego. I powiedział: „Módlcie się, módlcie się za mnie, bo mam misję do spełnienia”. „Módlcie się za mnie, nie

zostawiajcie mnie samego!“. „Jesteśmy kapłanami i musimy iść i musimy wypełnić nasz obowiązek“. **„Idziemy zanieść Pana naszym braciom“**.

W Creda jest wiele ludzi, którzy umierają w męczarniach: muszą przybyć, błogosławić i – jeśli to możliwe – spróbować interweniować w stosunku do SS.

Pani Massimina [Zappoli], która była świadkiem podczas śledztwa wojskowego w Bolonii, wspomina: *Pomimo modlitw nas wszystkich, szybko odprawili Eucharystię i, pchani jedynie nadzieją, że mogą zrobić coś dla ofiar takiej okrutności przynajmniej z duchowym pocieszeniem, wzięli Najświętszy Sakrament i pobiegli w stronę Creda*. Pamiętam, że kiedy ks. Elia, już w biegu, przeszedł obok mnie w kuchni, **chwyciłam go w ostatniej próbie, aby go odwieść**, mówiąc, że zostaniemy na łasce losu; dał do zrozumienia, że, jakkolwiek poważna była nasza sytuacja, byli tacy, którzy mieli gorzej od nas i to do nich musieli iść.

On jest nieugięty i odmawia, jak później zasugerował ks. Mellini, aby z opóźnieniem przyjść do Creda, wtedy, gdy Niemcy się oddalą: *Była to [zatem] pasja, przed krwawą, [...] serca, pasja ducha. W tamtych czasach wszyscy byli przerażeni wszystkim i wszystkimi: nie można było już ufać nikomu: każdy mógł być decydującym wrogiem dla własnego życia. Kiedy dwaj kapłani zdali sobie sprawę, że ktoś naprawdę ich potrzebuje, nie mieli wątpliwości co do tego, co robić [...] a przede wszystkim nie sięgnęli po to, co było natychmiastową decyzją dla wszystkich, czyli znaleźć schronienie, starać się ukryć i być z dala od zamieszania. Dwaj kapłani, przeciwnie, poszli tam świadomie, wiedząc, że ich życie jest w 99% zagrożone; i poszli tam, aby być naprawdę kapłanami: to znaczy, aby asystować i pocieszać; aby również dać sakramenty, a więc modlitwę, pocieszenie, które wiara i religia przynoszą*.

Pewna osoba powiedziała: Ks. Elia, dla nas, był już święty. **Gdyby był osobą normalną [...] nie poszedłby; ukryłby się również za szafą, jak wszyscy inni**.

Przy ukrytych mężczyznach, to kobiety próbują powstrzymać kapłanów, w ostatecznej próbie uratowania im życia. Scena jest

jednocześnie ekspresyjna i bardzo wymowna: Lidia Macchi [...] i inne kobiety próbowały im uniemożliwić wyjście, próbowały ich trzymać za sutannę, goniły ich, wołając głośno, aby wrócili: pchani wewnętrzną siłą, która jest żarem miłości i misjonarską troską, zdecydowanie szli w stronę Creda, niosąc duchowe pocieszenie.

Jedna z nich wspomina: Przytuliłam ich, trzymałam mocno za ramiona, mówiąc i błagając: – Nie idźcie! – Nie idźcie!

Lidia Marchi dodaje: Mocno ciągnęłam ojca Martino za sutannę i zatrzymywałam go [...] ale obaj kapłani powtarzali: – Musimy iść; Pan nas wzywa.

Musimy wypełnić nasz obowiązek. A [ks. Elia i ojciec Martino] jak Jezus, poszli naprzeciw wyznaczonej losowi.

Decyzja o udaniu się do Creda została podjęta przez dwóch **kapłanów z czystego ducha duszpasterskiego; mimo że wszyscy próbowali ich odwieść, chcieli iść, pchani nadzieją, że mogą uratować kogoś z tych, którzy byli na łasce wściekłości żołnierzy.**

Do Creda, prawie na pewno, nigdy nie dotarli. Zatrzymani, według świadka, przy „pilastrze”, tuż poza polem widzenia parafii, ksiądz Elia i ojciec Martino zostali później widziani obciążeni amunicją, na czołowej pozycji wśród zatrzymanych, lub jeszcze sami, związani, z łańcuchami, blisko drzewa, podczas gdy nie toczyła się żadna bitwa, a SS jadły. Ks. Elia nakazał pewnej kobiecie uciekać, nie zatrzymywać się, aby uniknąć śmierci: Anna, na miłość boską, uciekaj, uciekaj.

Byli obciążeni i pochylali się pod ciężarem wielu ciężkich skrzynek, które owijały ich ciało z przodu i z tyłu. Ich plecy wyginały się tak, że niemal dotykały ziemi nosem.

Siedzieli na ziemi [...] bardzo spoceni i zmęczeni, z amunicją na plecach.

Aresztowani byli zmuszani do noszenia amunicji w górę i w dół po górze, świadkami niewyobrażalnych przemocy.

[SS zmuszali ich] wielokrotnie do schodzenia i wchodzenia na górę, pod ich eskortą, a także dokonując, na oczach dwóch ofiar, najbardziej przerażających aktów przemocy.

Gdzie są teraz stuła, święte oleje i przede wszystkim

Najświętszy Sakrament? Nie ma po nich żadnego śladu. Z dala od ciekawskich oczu, SS brutalnie pozbawiły kapłanów tego Skarbu, z którego nic więcej nie można było znaleźć.

Pod wieczór 29 września 1944 roku, zostali przewiezieni z wieloma innymi mężczyznami (zatrzymanymi nie w ramach represji ani nie dlatego, że byli partyzantami, jak pokazują źródła), do domu „Birocciai” w Pioppe di Salvaro. Później, podzieleni, spotkały ich różne losy: niewielu zostanie uwolnionych po serii przesłuchań. Większość, uznana za zdolną do pracy, zostanie skierowana do obozów pracy przymusowej i będą mogli – później – wrócić do swoich rodzin. Ci, którzy zostaną uznani za niezdolnych, według kryterium czysto cywilnego (por. obozy koncentracyjne) lub zdrowotnego (młody, ale ranny lub udający chorego w nadziei na ocalenie) zostaną zabici wieczorem 1 października w „Botte” Canapiera w Pioppe di Salvaro, pośród ruin, ponieważ było zbombardowane przez Aliantów kilka dni wcześniej.

Ksiądz Elia i ojciec Martino – którzy byli przesłuchiwanymi – mogli poruszać się aż do ostatnich chwil w domu i przyjmować wizyty. Ks. Elia wstawiał się za wszystkimi; pewien młody człowiek, bardzo wyczerpany, zasnął na jego kolanach: na jednym z nich ks. Elia trzymał Brewiarz, tak mu drogi, który chciał trzymać przy sobie aż do ostatnich chwil. Dziś, staranne badania historyczne oparte na źródłach dokumentalnych, wspierane przez najnowszą historiografię świecką, wykazały, że nigdy nie powiodła się próba uwolnienia księdza Elia, podjęta przez Emilio Veggetti, oraz że ksiądz Elia i ojciec Martino nigdy nie byli naprawdę uważani ani przynajmniej traktowani jako „szpiedzy”.

Ofiara całopalna

Na koniec, mimo że byli młodzi (34 i 32 lata), zostali włączeni do grupy niezdolnych i z nimi straceni. Spędzili te ostatnie chwile, modląc się, prosząc o modlitwę, wzajemnie się rozgrzeszając i dając sobie wszelkie możliwe pocieszenie w wierze. Ksiądz Elia zdołał przekształcić makabryczną procesję skazanych aż do pomostu przed zbiornikiem, gdzie zostaną

zabici, w zbiorowy akt zawierzenia, trzymając jak najdłużej otwarty Brewiarz w ręku (potem, jak się mówi, Niemiec z brutalnością uderzył w jego ręce i Brewiarz upadł do zbiornika) i przede wszystkim intonując Litanię. Kiedy otwarto ogień, ksiądz Elia Comini uratował jednego człowieka, bo osłaniał go własnym ciałem i krzyknął „Miłosierdzie”. Ojciec Martino z kolei wzywał „Przebaczenie”, z trudem wznosząc się w zbiorniku, wśród martwych lub umierających towarzyszy, i kreśląc znak Krzyża kilka chwil przed własną śmiercią, z powodu ogromnej rany. SS chciało upewnić się, że nikt nie przeżyje, rzucając kilka granatów. W kolejnych dniach, z powodu niemożności wydobywania ciał zanurzonych w wodzie i błocie z powodu obfitych deszczy (próbowały kobiety, nawet ksiądz Fornasini nie mógł tego zrobić), jeden mężczyzna otworzył kraty, a rwący nurt rzeki Ren porwał wszystko. Nic więcej nie znaleziono z nich: *consummatum est!*

Uwidoczniła się ich gotowość *nawet do męczeństwa, nawet jeśli w oczach ludzi wydaje się głupotą odrzucać własne zbawienie, aby dać marne pocieszenie tym, którzy już byli przeznaczeni na śmierć*. Biskup Benito Cocchi we wrześniu 1977 roku w Salvaro powiedział: *Tutaj przed Bogiem mówimy, że nasze umiłowanie idzie do tych gestów, do tych ludzi, do tych, którzy płacą osobiście: do tych, którzy w momencie, gdy liczyły się tylko broń, siła i przemoc, kiedy dom, życie dziecka, cała rodzina były nic nie warte, potrafili dokonać gestów, które nie mają głosu w bilansach wojennych, ale które są prawdziwymi skarbami ludzkości, oporu i alternatywy dla przemocy; do tych, którzy w ten sposób zakładali korzenie dla bardziej ludzkiego społeczeństwa i współżycia.*

W tym sensie Męczeństwo kapłanów stanowi owoc ich świadomego wyboru, *aby dzielić los owczarni aż do ostatecznej ofiary, kiedy wysiłki mediacji między ludnością a okupantami, długo podejmowane, tracą wszelką możliwość sukcesu*”.

Ksiądz Elia Comini był świadomy swojego losu, mówiąc – już w pierwszych fazach aresztowania – „Aby czynić dobro, musimy znieść wiele cierpień”; „To był ksiądz Elia, który wskazując na niebo, witał je z oczami pełnymi łez”. „Elia się pojawił i

powiedział mi: „Proszę jechać do Bolonii, do Kardynała, i powiedzieć mu, gdzie się znajdujemy”. Odpowiedziałem: „Jak mam jechać do Bolonii?”. [...] W międzyczasie żołnierze popychali mnie lufą karabinu. Ksiądz Elia pożegnał mnie, mówiąc: „Zobaczymy się w niebie!”. Krzyknąłem: „Nie, nie, nie mów tego”. Odpowiedział, smutny i pogodny: „Zobaczymy się w niebie”.

Jak Ksiądz Bosko...: „[Czekam] na wszystkich w niebie”!

To był wieczór 1 października, początek miesiąca poświęconego Różańcowi i Misjom.

W latach swojej młodości, Elia Comini mówił Bogu: **Panie, przygotuj mnie, abym był niegodny, aby być zaakceptowaną ofiarą** („Dziennik” 1929); **Panie, [...] przyjmij mnie jako ofiarę prześladowaną** (1929); **Chciałbym być ofiarą całopalną** (1931). [Jezusa] **prosiłem o śmierć, niż raczej zawieść powołanie kapłańskie i heroiczną miłość do dusz** (1935).

Vera Grita. Pielgrzym nadziei

Vera Grita, córka Amleta i Marii Anny Zacco z Pirrery, urodziła się w Rzymie 28 stycznia 1923 roku i była drugą z czterech sióstr. Żyła i uczyła się w Savonie, gdzie uzyskała kwalifikacje nauczycielskie. W wieku 21 lat, podczas niespodziewanego nalotu powietrznego na miasto (1944), została przygnieciona i stratowana przez uciekającą tłum, co spowodowało poważne konsekwencje dla jej ciała, które od tamtego czasu pozostaje naznaczone cierpieniem. Przeszła niezauważona w swoim krótkim życiu doczesnym, ucząc w szkołach w Ligurii (Rialto, Erli, Alpicella, Deserto di Varazze), gdzie zdobyła szacunek i sympatię wszystkich dzięki swojemu dobremu i łagodnemu charakterowi. W Savonie, uczęszczała do parafii salezjańskiej Marii Wspomożycielki, gdzie uczestniczyła we Mszach i regularnie przystępowała do sakramentu pokuty. Od

1963 roku jej spowiednikiem był salezjanin ks. Giovanni Bocchi. Jako Salezjanka Współpracowniczka, od 1967 roku, zrealizowała swoje powołanie w całkowitym darze siebie Panu, który w sposób niezwykle ofiarował się jej, w głębi jej serca, poprzez „Głos”, poprzez „Słowo”, aby przekazać jej Dzieło Żywych Tabernakulów. Poddała wszystkie swoje pisma dyrektorowi duchowemu, salezjaninowi ks. Gabriello Zucconi, i zachowała w milczeniu swojego serca tajemnicę tego powołania, prowadząc ją przez drogę ukrytego życia, wyrzeczenia i unicestwienia siebie. Pod wpływem łaski Bożej i przyjmując pośrednictwo duchowych przewodników, Vera Grita odpowiedziała na dar Boga, świadcząc w swoim życiu, naznaczonym trudami choroby, o spotkaniu z Zmartwychwstałym i poświęcając się heroiczną hojnością nauczaniu i wychowaniu uczniów, wspierając potrzeby rodziny i świadcząc o życiu ewangelicznej biedy. Skoncentrowana i mocna w Bogu, który kocha i wspiera, z wielką wewnętrzną siłą była zdolna znosić próby i cierpienia życia. Na podstawie tej wewnętrznej solidności dawała świadectwo chrześcijańskiego życia, pełnego cierpliwości i wytrwałości w dobru.

Zmarła 22 grudnia 1969 roku, w wieku 46 lat, w małym pokoju szpitalnym w Pietra Ligure, gdzie spędziła ostatnie sześć miesięcy życia w narastającym cierpieniu, akceptowanym i przeżywanym w jedności z Jezusem Ukrzyżowanym. „Dusza Very – napisał ks. Borra, salezjanin, jej pierwszy biograf – z przesłaniami i listami wchodzi w grono tych charyzmatycznych dusz powołanych do wzbogacenia Kościoła płomieniami miłości do Boga i Jezusa Eucharystycznego dla rozszerzenia Królestwa”.

Życie pozbawione ludzkich nadziei

Po ludzku rzecz biorąc, życie Very od dzieciństwa naznaczone jest utratą horyzontu nadziei. Utrata niezależności ekonomicznej w jej rodzinie, a następnie oddalenie od rodziców, aby udać się do Modica na Sycylii do ciotek, przede wszystkim śmierć ojca w 1943 roku, stawia Verę przed konsekwencjami szczególnie bolesnych wydarzeń. Po 4 lipca 1944

roku, dniu bombardowania Savony, które na zawsze naznaczy życie Very, jej stan zdrowia również na zawsze się pogorszy. Dlatego Służebnica Boża znalazła się jako młoda dziewczyna bez jakiegokolwiek perspektywy na przyszłość i musiała wielokrotnie przemyśleć swoje plany i zrezygnować z wielu pragnień: studiów uniwersyteckich, nauczania, a przede wszystkim założenia własnej rodziny z młodym mężczyzną, z którym się spotykała. Mimo nagłego końca wszystkich jej ludzkich nadziei między 20 a 21 rokiem życia, w Verze nadzieja była żywo obecna: zarówno jako ludzka cnota, która wierzy w możliwą zmianę i angażuje się w jej realizację (mimo że była bardzo chora, przygotowała się i wygrała konkurs na nauczyciela), jak również przede wszystkim jako cnota teologalna – zakorzeniona w wierze – która napełniała ją energią i stawała się narzędziem pocieszenia dla innych. Prawie wszyscy świadkowie, którzy ją znali, zauważają tę pozorną sprzeczność między pogorszającym się stanem zdrowia i narzekaniem, zamiast którego przynosiła radość, nadzieję i odwagę nawet w okolicznościach ludzkiego rozpaczy. Vera stała się „nosicielką radości”.

Jej siostrzenica stwierdza: „Zawsze była chora i cierpiąca, ale nigdy nie widziałam jej zniechęconej ani złej z powodu swojego stanu, zawsze miała blask nadziei podtrzymywanej przez wielką wiarę. [...] Moja ciocia często była hospitalizowana, cierpiąca i delikatna, ale zawsze spokojna i pełna nadziei z powodu wielkiej Miłości, jaką miała do Jezusa”.

Również siostra Liliana czerpała z popołudniowych rozmów telefonicznych z nią zachętę, spokój i nadzieję, mimo że Służebnica Boża była wtedy obciążona licznymi problemami zdrowotnymi i zawodowymi: „napełniała mnie – mówi – zaufaniem i nadzieją, sprawiając, że myślałam, że Bóg zawsze jest blisko nas i prowadzi nas. Jej słowa przywracały mnie w ramiona Pana i odnajdywałam pokój”.

Agnese Zannino Tibiroso, której świadectwo ma szczególną wartość, ponieważ spędziła czas z Verą w szpitalu „Santa Corona” w jej ostatnim roku życia, potwierdza: „mimo poważnych cierpień, które choroba jej przynosiła, nigdy nie słyszałam, aby narzekała na swoją sytuację. Dawała ulgę i nadzieję

wszystkim, którzy się do niej zbliżali, a gdy mówiła o swojej przyszłości, robiła to z entuzjazmem i odwagą”.

Aż do ostatniego Vera Grita pozostała taka: nawet na ostatnim etapie swojej ziemskiej drogi zachowała spojrzenie w przyszłość, miała nadzieję, że dzięki leczeniu guz może się wchłonąć, miała nadzieję, że będzie mogła objąć posadę nauczycielki w Piani di Invrea w roku szkolnym 1969-1970, a także, że po wyjściu ze szpitala będzie mogła poświęcić się swojej misji duchowej.

Wychowana w nadziei przez spowiednika i na drodze duchowej

Nadzieja, którą potwierdza Vera, jest zakorzeniona w Bogu i w mądrości odczytywania wydarzeń, której nauczyli ją jej duchowy ojciec ks. Gabriello Zucconi i, przed nim, spowiednik ks. Giovanni Bocchi. To właśnie posługa księdza Bocchi – człowieka radości i nadziei – miała pozytywny wpływ na Verę, którą przyjął w jej chorobie i nauczył, jak cenić cierpienia – niechciane – którymi była obciążona. Ks. Bocchi był tym pierwszym nauczycielem nadziei, o którym powiedziano: „zawsze serdecznymi i pełnymi nadziei słowami otwierał serca na wielkoduszność, przebaczenie, przejrzystość w relacjach międzyludzkich; żył błogosławieństwami z naturalnością i codzienną wiernością”. „Mając nadzieję i mając pewność, że tak jak to miało miejsce w przypadku Chrystusa, tak również stanie się z nami: chwała Zmartwychwstania”, ks. Bocchi przez swoją posługę głosił chrześcijańską nadzieję, opartą na wszechmocy Boga i zmartwychwstaniu Chrystusa. Później, z Afryki, dokąd wyruszył jako misjonarz, powie: „byłem tam, ponieważ chciałem przynieść i ofiarować im Jezusa Żywego i obecnego w Najświętszej Eucharystii z wszystkimi darami Jego Serca: Pokój, Miłosierdzie, Radość, Miłość, Światło, Jedność, Nadzieję, Prawdę, Życie wieczne”.

Vera stała się nosicielką nadziei i radości także w środowiskach naznaczonych cierpieniem fizycznym i moralnym, ograniczeniami poznawczymi (jak w przypadku jej małych uczniów z niedosłuchem) lub nieoptymalnymi warunkami rodzinnymi i społecznymi (jak w „rozpalonym klimacie” Erli).

Przyjaciółka Maria Mattalia wspomina: „Widzę słodki uśmiech Very, czasami zmęczony od walki i cierpienia; przypominając sobie jej siłę woli, staram się podążać za jej przykładem dobroci, wielkiej wiary, nadziei i miłości [...]”.

Antonietta Fazio – była woźna w szkole w Casanovie – świadczyła o niej: „była bardzo lubiana przez swoich uczniów, których bardzo kochała, a szczególnie przez tych z trudnościami intelektualnymi [...]. Bardzo religijna, przekazywała każdemu wiarę i nadzieję, mimo że sama była bardzo cierpiąca fizycznie, ale nie moralnie”.

W tym kontekście Vera pracowała, aby przywrócić powody nadziei. Na przykład, w szpitalu (gdzie jedzenie jest mało satysfakcjonujące) zrezygnowała specjalnie z winogron, aby część z nich znalazła się na stoliku nocnym wszystkich pacjentek na sali, a także zawsze dbała o swój wygląd, aby dobrze się prezentować, schludnie, z godnością i wyrafinowaniem, przyczyniając się w ten sposób do przeciwdziałania atmosferze cierpienia w klinice, a czasami do utraty nadziei w wielu chorych, którzy ryzykują „poddanie się”.

Dzięki **Przesłaniom Dzieła Żywych Tabernakulów**, Pan nauczył ją postawy oczekiwania, cierpliwości i zaufania do niego. Niezliczone są bowiem zachęty *do oczekiwania na Oblubieńca lub Oblubieńca, który czeka na swoją oblubienicę*:

„Zawsze miej nadzieję w swoim Jezusie, zawsze, zawsze.

Niech On przyjdzie do naszych dusz, niech przyjdzie do naszych domów; niech przyjdzie z nami, aby dzielić radości i smutki, trudy i nadzieje.

Pozwól mojej Miłości działać i zwiększ swoją wiarę, swoją nadzieję.

Podążaj za mną w ciemności, w cieniach, ponieważ znasz „drogę”.

Miej nadzieję we Mnie, miej nadzieję w Jezusie!

Po drodze nadziei i oczekiwania przyjdzie zwycięstwo.

Aby wezwać was do rzeczy Niebieskich,,.

Nosicielka nadziei w umieraniu i wstawiennictwie

Nawet w chorobie i w śmierci, Vera Grita świadczyła o chrześcijańskiej nadziei.

Wiedziała, że gdy jej misja zostanie zakończona, życie na ziemi również się skończy. „To jest twoje zadanie, a gdy się skończy, pożegnasz ziemię na rzecz Niebios”: dlatego nie czuła się „właścicielką” czasu, ale szukała posłuszeństwa woli Bożej.

W ostatnich miesiącach, mimo pogarszającego się stanu zdrowia i narażenia na pogorszenie obrazu klinicznego, Służebnica Boża potwierdziła swój spokój, pokój, wewnętrzne poczucie „spełnienia” swojego życia.

W ostatnich dniach, mimo że naturalnie była przywiązana do życia, ks. Giuseppe Formento opisał ją jako „będącą w pokoju z Bogiem”. W tym duchu mogła przyjmować Komunię aż do kilku dni przed śmiercią, a 18 grudnia otrzymała Sakrament Namaszczenia Chorych.

Kiedy siostra Pina odwiedziła ją tuż przed śmiercią – Vera była około trzech dni w śpiączce – wbrew swojej powściągliwości powiedziała, że w tych dniach widziała wiele rzeczy, rzeczy piękne, których niestety nie miała czasu opowiedzieć. Dowiedziała się o modlitwach Ojca Pio i Dobrego Papieża za nią, a ponadto dodała – w odniesieniu do Życia wiecznego – „Wszyscy wy przyjdziecie do nieba ze mną, bądźcie tego pewni”.

Liliana Grita również świadczyła, że w ostatnim okresie Vera „wiedziała więcej o Niebie niż o ziemi”. Z jej życia można wyciągnąć następujące podsumowanie: „ona, tak cierpiąca, pocieszała innych, napełniając ich nadzieją i nie wahała się

im pomagać". Wiele łask przypisywanych wstawiennictwu Very dotyczy w końcu chrześcijańskiej nadziei. Vera – nawet podczas pandemii Covid 19 – pomogła wielu odnaleźć powody nadziei i była dla nich opieką, siostrą w duchu, pomocą w kapłaństwie. Pomogła wewnętrznemu kapłanowi, który po udarze zapomniał modlitw, nie mogąc ich już wymawiać z własnym skrajnym bólem i dezorientacją. Sprawiała, że wielu wróciło do modlitwy, wypraszając uzdrowienie młodego ojca dotkniętego krwotokiem.

Również **siostra Maria Ilaria Bossi**, Mistrzyni Nowicjatu Benedyktynek Najświętszego Sakramentu w Ghiffa, zauważa, jak Vera – siostra w duchu – jest duszą, która prowadzi do Nieba i towarzyszy w drodze do Nieba: „Czuję ją siostrą w drodze do nieba... Wiele [...] osób, które w niej się rozpoznają i zwracają się do niej, na drodze ewangelicznej, biegnąc ku niebu”.

Podsumowując, można zrozumieć, jak cała historia Very Girty była podtrzymywana nie przez ludzkie nadzieje, przez zwykłe spojrzenie na „jutro” z nadzieją, że będzie ono lepsze od teraźniejszości, lecz przez prawdziwą nadzieję, teologalną: „była spokojna, ponieważ wiara i nadzieja zawsze ją podtrzymywały. Chrystus był w centrum jego życia, z Niego czerpała siłę. [...] była osobą spokojną, ponieważ miała w sercu nadzieję Boską, nie nadzieję przyziemną [...], tę, która pochodzi tylko od Boga, która jest darem i przygotowuje nas na spotkanie z Nim».

W modlitwie do Maryi z Dzieła Żywych Tabernakulów czytamy: «Podnieś nas [Maryjo] z ziemi, abyśmy stąd żyli i byli dla Nieba, dla Królestwa Twojego Syna».

Warto również przypomnieć, że **ks. Gabriello** musiał pielgrzymować w nadziei wśród wielu prób i trudności, jak pisze w liście do Very z 4 marca 1968 roku z Florencji: «Zawsze musimy mieć nadzieję. Obecność trudności nie odbiera tego, że na końcu dobro, to co dobre, to co piękne, zwycięży. Pokój, porządek, radość powrócą. Człowiek, syn Boży, odzyska całą chwałę, jaką miał od początku. Człowiek będzie zbawiony w Jezusie i odnajdzie w Bogu wszelkie dobro. Oto wtedy wracają

na myśl wszystkie piękne rzeczy obiecane przez Jezusa, a dusza w Nim odnajduje swój pokój. Odwagi: teraz jesteśmy jak w walce. Przyjdzie dzień zwycięstwa. To jest pewność w Bogu».

W kościele Santa Corona w Pietra Ligure Vera Grita uczestniczyła w Mszy i modliła się podczas długich hospitalizacji. Jej świadectwo wiary w żywą obecność Jezusa Eucharystycznego i Najświętszej Maryi Panny w jej krótkim życiu doczesnym jest znakiem nadziei i pocieszenia dla tych, którzy w tym miejscu opieki będą prosić o jej pomoc i wstawiennictwo u Pana, aby być podniesionym i uwolnionym od cierpienia.

Droga Very Grity w dniach ciężkiej pracy proponuje również nową świecką perspektywę świętości, stając się przykładem nawrócenia, akceptacji i uświęcenia dla 'biednych', 'kruchych', 'chorych', którzy w niej mogą się rozpoznać i odnaleźć nadzieję.

Św. Paweł pisał, «że cierpienia obecnego czasu nie są porównywalne z chwałą, która ma być w nas objawiona». Z «niecierpliwością» czekamy na kontemplację oblicza Boga, ponieważ «w nadziei zostaliśmy zbawieni» (Rz 8, 18.24). Dlatego absolutnie konieczne jest, aby mieć nadzieję przeciw wszelkiej nadziei, «*Spes contra spem*». Bo, jak napisał Charles Péguy, Nadzieja jest dzieckiem «niezłomnym». W porównaniu do Wiary, która «jest wierną żoną», i Miłości, która «jest Matką», Nadzieja wydaje się na pierwszy rzut oka nic nie warta. A jednak jest dokładnie odwrotnie: to właśnie Nadzieja, pisze Péguy, «przyszła na świat w dzień Bożego Narodzenia» i która «niosąc inne, przejdzie przez światy».

«Pisz, Wero od Jezusa, dam ci światło. Ukwieczone drzewo na wiosnę wydało swoje owoce. Wiele drzew musi zakwitnąć w odpowiednim czasie, aby owoce były obfite... Proszę cię, abys z wiarą przyjęła każdą próbę, każdy ból dla Mnie. Zobaczysz owoce, pierwsze owoce nowego kwitnienia». (Santa Corona – 26 października 1969 – Święto Chrystusa Króla – Przedostatnia wiadomość).

Profile rodzin poranionych w historii świętości salezjańskiej

1. Historie rodzin poranionych

Jesteśmy przyzwyczajeni do wyobrażania sobie rodziny jako harmonijnej rzeczywistości, charakteryzującej się współistnieniem wielu pokoleń i przewodzącą rolą rodziców, którzy nadają normy, oraz dzieci, które – ucząc się ich – są przez nich prowadzone w doświadczeniu rzeczywistości. Jednak często rodziny przeżywają dramaty i nieporozumienia, lub są naznaczone ranami, które atakują ich optymalną konfigurację i oddają zniekształcony, fałszywy obraz.

Historia świętości salezjańskiej również jest przesiąknięta historiami rodzin poranionych: rodzin, w których brakuje przynajmniej jednego z rodziców, lub gdzie obecność mamy i taty staje się, z różnych powodów (fizycznych, psychicznych, moralnych i duchowych), obciążeniem dla ich dzieci, które dziś zmierzają ku chwale ołtarzy. Sam Ksiądz Bosko, który doświadczył przedwczesnej śmierci ojca i oddalenia od rodziny z powodu ostrożnej woli Mamy Małgorzaty, pragnie – nie jest to przypadek – aby dzieło salezjańskie było szczególnie dedykowane „młodzieży biednej i opuszczonej” i nie waha się dotrzeć do młodych, którzy uformowali się w jego oratorium, z intensywną pastoralną posługą powołaniową (udowadniając, że żadna rana z przeszłości nie jest przeszkodą dla pełnego życia ludzkiego i chrześcijańskiego). Dlatego naturalne jest, że sama świętość salezjańska, która czerpie z istnienia wielu młodych ludzi Księdza Bosko, którzy następnie zostali przez niego poświęceni dla sprawy Ewangelii, nosi w sobie – jako logiczną konsekwencję – ślad rodzin zranionych.

Chcemy przedstawić troje chłopców i dziewcząt, którzy dorastali w kontakcie z dziełami salezjańskimi, wplatając ich losy w biografię Księdza Bosko. Bohaterami są:

- błogosławiona Laura Vicuña, urodzona w Chile w 1891 roku, sierota po ojcu, której mama zaczyna w Argentynie wspólne życie z bogatym właścicielem ziemskim Manuelem Mora; Laura, zraniona sytuacją moralnej nieregularności matki, jest gotowa oddać życie za nią;

- sługa Boży Carlo Braga, z Valtelliny, rocznik 1889, porzucony jako małe dziecko przez ojca, a jego mama zostaje oddalona, ponieważ uznano ją, z powodu mieszkanki ignorancji i oszczerstw, za psychicznie niestabilną; Carlo, który doświadcza wielkich upokorzeń i wielokrotnie widzi, jak jego powołanie salezjańskie jest stawiane w trudnej sytuacji przez tych, którzy obawiają się w nim kompromitującego powrotu psychicznych trudności fałszywie przypisywanych matce;

- wreszcie słuźebnica Boża Anna Maria Lozano, która urodziła się w 1883 roku w Kolumbii, podąża z rodziną za ojcem do lazaretu, który zmuszony jest się tam przenieść w wyniku pojawienia się straszliwej choroby trądu, będzie przeszkodzona w swoim powołaniu zakonnym, ale ostatecznie będzie mogła je zrealizować dzięki opatrnościowemu spotkaniu z salezjaninem Alojzym Variarą, dziś błogosławionym.

2. Ksiądz Bosko i poszukiwanie ojca

Jak Laura, Carlo i Anna Maria – naznaczeni brakiem lub „ranami” jednej lub więcej postaci rodzicielskich – przed nimi, w pewnym sensie „dla nich”, także Ksiądz Bosko doświadcza braku silnej rodzinności.

Wspomnienia Oratorium muszą szybko skupić się na przedwczesnej utracie ojca: Francesco umiera w wieku 34 lat, a Ksiądz Bosko – nie bez użycia wyrażenia, które w pewnych aspektach jest niepokojące – uznaje, że „miłosierny Bóg uderzył ich wszystkich poważną katastrofą”. Wśród pierwszych wspomnień przyszłego świętego młodzieży pojawia się bolesne doświadczenie: widoku zwłok ojca, od których mama próbuje go oddalić, napotykając jednak jego opór: „Ja chciałem absolutnie

zostać”, wyjaśnia Ksiądz Bosko, który wtedy dodał: „Jeśli tata nie przyjdzie, nie chcę wyjść [stąd]”. Małgorzata odpowiada mu wtedy: „Biedny synu, chodź ze mną, nie masz już ojca”. Ona płacze, a Janek, który nie ma racjonalnego zrozumienia sytuacji, ale intuicyjnie odczuwa cały dramat, przyjmuje smutek matki: „Płakałem, ponieważ ona płakała, ponieważ w tym wieku nie mogłem zrozumieć, jak wielką tragedią była utrata ojca”.

W obliczu zmarłego ojca, Janek pokazuje, że wciąż uważa go za centrum swojego życia. Mówi bowiem: „nie chcę wyjść [z tobą, mamó]” i nie, jak byśmy się spodziewali: „nie chcę *przyjść*”. Jego punktem odniesienia jest ojciec – punkt wyjścia i pożądaný punkt powrotu – w odniesieniu do którego każde oddalenie wydaje się destabilizujące. W dramatyzmie tych chwil, ponadto, Janek jeszcze nie rozumiał, co oznacza śmierć rodzica. W rzeczywistości ma nadzieję („jeśli tata nie przyjdzie...”), że ojciec może wciąż być blisko niego: a jednak już intuicyjnie dostrzega jego bezruch, milczenie, niezdolność do ochrony i obrony go, niemożność wzięcia go za rękę, aby stał się mężczyzną. Następujące wydarzenia utwierdzają Jana w przekonaniu, że ojciec miłosiernie chroni, kieruje i prowadzi, a gdy go brakuje, nawet najlepsza z matek, jaką jest Małgorzata, może zapewnić to tylko częściowo. Na swojej drodze jako pełen życia chłopak, przyszły Ksiądz Bosko spotyka jednak innych „ojców”: niemal rówieśników Alojzego Comollo, który budzi w nim rozwój cnót, oraz świętego Józefa Cafasso, który nazywa go „moim drogim przyjacielem”, czyni mu „miły znak, aby się zbliżył” i w ten sposób potwierdza go w przekonaniu, że ojcostwo to bliskość, zaufanie i konkretne zainteresowanie. Ale przede wszystkim jest ksiądz Calosso, kapłan, który „przechwytuje” kręcącego się podczas „misji ludowej” Janka i staje się on decydujący dla jego rozwoju ludzkiego i duchowego. Gesty księdza Calosso wywołują w nastoletnim Janku prawdziwą rewolucję. Ksiądz Calosso przede wszystkim z nim rozmawia. Następnie daje mu głos. Potem go zachęca. Co więcej: interesuje się historią rodziny Bosko, pokazując, że potrafi umiejscowić „teraz” tego chłopca w „całości” jego historii.

Ponadto odkrywa mu świat, a wręcz w pewnym sensie przywraca go do świata, wprowadzając go w nowe rzeczy, obdarowując nowymi słowami i pokazując mu, że ma zdolności, aby robić wiele i dobrze. Wreszcie chroni go gestem i spojrzeniem, i dba o jego najpilniejsze i rzeczywiste potrzeby: „Podczas gdy mówiłem, nigdy nie zszedł mi z oczu”.

„Bądź dobrej myśli, przyjacielu, pomyślę o tobie i twoich studiach”.

W księdzu Calosso Jan Bosko doświadcza więc, że prawdziwe ojcostwo zasługuje na całkowite zaufanie; prowadzi do świadomości siebie; otwiera „uporządkowany świat”, w którym reguła daje bezpieczeństwo i uczy wolności:

Szybko oddałem się w ręce księdza Calosso. Wtedy poznałem, co znaczy mieć stabilnego przewodnika [...], wiernego przyjaciela duszy... On mnie zachęcał; cały czas, jaki mogłem, spędzałem przy nim... Od tego czasu zacząłem smakować, co to jest życie duchowe, ponieważ wcześniej działałem raczej materialnie i jak maszyna, która robi coś, nie wiedząc dlaczego.

Jednak ziemski ojciec to także ten, który zawsze chciałby być przy synu, ale w pewnym momencie nie jest w stanie tego zrobić. Również ksiądz Calosso umiera; nawet najlepszy ojciec w pewnym momencie ustępuje, aby dać synowi siłę do oddalenia i autonomii typowe dla dorosłości.

Jaka jest więc różnica dla Księdza Bosko między udanymi a nieudanymi rodzinami? Można by pokusić się o stwierdzenie, że tkwi ona w tym: „udana” to rodzina, w której rodzice uczą dzieci wolności, a jeśli je opuszczają, to tylko z powodu nadchodzącej niemożności lub dla ich dobra. „Zraniona” natomiast to rodzina, w której rodzic nie rodzi już do życia, ale nosi w sobie problemy różnego rodzaju, które utrudniają rozwój dziecka: rodzic, który nie interesuje się nim i, w obliczu trudności, nawet go porzuca, z postawą tak różną od postawy Dobrego Pasterza.

Biograficzne losy Laury, Carla i Anny Marii to potwierdzają.

3. Laura: córka, która „rodzi” swoją matkę

Urodzona w Santiago de Chile 5 kwietnia 1891 roku i ochrzczona 24 maja tego samego roku, Laura jest najstarszą córką José D. Vicuña, upadłego szlachcica, który ożenił się z Mercedes Pino, córką skromnych rolników. Trzy lata później przychodzi na świat jej siostrzyczka, Julia Amanda, ale wkrótce tata umiera, po tym jak doznał porażki politycznej, która podważyła jego zdrowie i zagroziła, wraz z utrzymaniem rodziny, także honorowi. Pozbawiona jakiejkolwiek „ochrony i perspektywy na przyszłość”, mama przybywa do Argentyny, gdzie korzysta z opieki właściciela ziemskiego Manuela Mora: człowieka „o wspaniałym i wyniosłym charakterze”, który „nie ukrywa nienawiści i pogardy dla każdego, kto sprzeciwia się jego planom”. Człowiek, który tylko pozornie gwarantuje ochronę, ale w rzeczywistości jest przyzwyczajony do brania, jeśli to konieczne, siłą, tego, czego chce, instrumentalizując ludzi. W międzyczasie opłaca naukę Laury i jej siostry w kolegium Córek Maryi Wspomożycielki, a ich matka – która podlega psychologicznemu wpływowi Mora – mieszka z nim, nie znajdując siły, aby zerwać ten związek. Kiedy jednak Mora zaczyna wykazywać oznaki nieuczciwego zainteresowania samą Laurą, a zwłaszcza gdy ta rozpoczyna przygotowania do Pierwszej Komunii, nagle zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. W przeciwieństwie do matki – która usprawiedliwia zło (wspólne życie) w imię dobra (wykształcenia córek w szkole) – Laura rozumie, że jest to argumentacja moralnie nielegalna, która poważnie zagraża duszy matki. W tym okresie Laura chciałaby sama zostać Córką Maryi Wspomożycielki: ale jej prośba zostaje odrzucona, ponieważ jest córką „publicznej konkubiny”. I w tym momencie to właśnie w Laurze – przyjętej do kolegium, gdy dominowały w niej jeszcze „impulsywność, łatwość urazy, drażliwość, niecierpliwość i skłonność do pozowania” – następuje zmiana, którą tylko łaska, połączona z wysiłkiem osoby, może dokonać: prosi Boga o nawrócenie matki, oferując siebie za nią. W tym momencie Laura nie może ruszyć ani „naprzód” (wstępując w szeregi Córek Maryi Wspomożycielki), ani „wstecz” (wracając do matki i Mora). Wówczas, z gestem

pełnym kreatywności typowej dla świętych, Laura podejmuje jedyną drogę, która jest jeszcze dla niej dostępna: drogę wysokości i głębokości. W postanowieniach Pierwszej Komunii zanotowała:

Postanawiam, aby zrobić wszystko, co wiem i mogę, aby [...] naprawić zniewagi, które Ty, Panie, otrzymujesz każdego dnia od ludzi, zwłaszcza od osób z mojej rodziny; Boże mój, daj mi życie miłości, umartwienia i ofiary.

Finalizuje swoje postanowienie w „Akcie ofiary”, który obejmuje ofiarę samego życia. Spowiednik, uznając, że inspiracja pochodzi od Boga, ale nie znając jej konsekwencji, zgadza się i potwierdza, że Laura jest „świadoma ofiary, którą właśnie złożyła”. Żyje ostatnie dwa lata w milczeniu, radości i uśmiechu oraz z naturą pełną ludzkiego ciepła. A jednak spojrzenie, które kieruje na świat – jak potwierdza fotografia, bardzo różniące się od znanej stylizacji hagiograficznej – mówi również o całej cierpiącej świadomości i bólu, które ją zamieszkują. W sytuacji, w której brakuje jej zarówno „wolności od” (ograniczeń, przeszkód, trudności), jak i „wolności do” robienia wielu rzeczy, ta nastolatka świadczy o „wolności dla”: tej całkowitego daru samej siebie.

Laura nie gardzi, ale kocha życie: swoje i matki. Dlatego się ofiarowuje. 13 kwietnia 1902 roku, w Niedzielę Dobrego Pasterza, pyta się: „Jeśli On daje życie... co mi przeszkadza, aby dać je dla mamy?”. Umierając, dodaje: „Mamo, umieram, sama to poprosiłam Jezusa... prawie dwa lata temu ofiarowałam Mu życie za ciebie..., aby uzyskać łaskę twojego powrotu!”.

To są słowa pozbawione żalu i wyrzutów, ale pełne wielkiej siły, wielkiej nadziei i wielkiej wiary. Laura nauczyła się przyjmować mamę taką, jaka jest. Wręcz oferuje siebie, aby dać jej to, czego sama nie potrafi osiągnąć. Kiedy Laura umiera, mama się nawraca. Laurita de los Andes, córka, w ten sposób przyczyniła się do narodzin matki w życiu wiary i łaski.

4. Carlo Braga i cień matki

Carlo Braga, który urodził się dwa lata przed Laurą, w 1889 roku, również jest naznaczony kruchością ze strony matki: gdy mąż porzuca ją i dzieci, Matilde „prawie przestała jeść i wyraźnie podupadła na zdrowiu”. Została więc przewieziona do Como, gdzie umiera cztery lata później na gruźlicę, chociaż wszyscy są przekonani, że jej depresja przekształciła się w prawdziwe szaleństwo. Carlo zaczyna być „uważany za syna nieodpowiedzialnego [ojca] i nieszczęśliwej matki”. Jednak ratują go trzy opatrnościowe wydarzenia.

O pierwszym, które miało miejsce, gdy był bardzo mały, odkrywa później sens: wpadł do ognia, a mama Matilde, ratując go, w tym momencie poświęciła go Matce Bożej. Tak więc myśl o nieobecnej matce staje się dla małego Carlo „bolesnym i pocieszającym wspomnieniem”: ból z powodu jej nieobecności; ale także pewność, że powierzyła go Matce wszystkich matek, Najświętszej Maryi Pannie. Ksiądz Braga pisze wiele lat później do współbrata salezjanina, który przeżył stratę własnej matki:

Teraz mama należy do ciebie znacznie bardziej niż wtedy, gdy żyła. Pozwól, że opowiem ci o moim osobistym doświadczeniu. Moja matka odeszła, gdy miałem sześć lat [...]. Muszę ci jednak wyznać, że ona towarzyszyła mi krok w krok i, gdy płakałem opuszczony przy szumie [rzeki] Addy, podczas gdy, będąc pastuszkim, czułem się wezwany do wyższego powołania, wydawało mi się, że Mama się do mnie uśmiecha i ociera moje łzy.

Carlo spotyka potem siostrę Giudittę Torelli, Córkę Maryi Wspomożycielki, która „uratowała małego Carlo przed rozkładem jego osobowości, gdy w wieku dziewięciu lat zdał sobie sprawę, jak jest traktowany i gdy czasami słyszał, jak ludzie mówią o nim: „Biedny chłopczyk, po co on w ogóle jest na świecie?”. Istnieją bowiem tacy, którzy twierdzili, że jego ojciec zasługiwał na rozstrzelanie za zdradę, a co do matki, wielu kolegów ze szkoły odpowiadało mu: „Ty się

zamknij, bo twoja matka była szalona". Ale siostra Giuditta kocha go i w szczególny sposób mu pomaga; spogląda na niego „nowym” wzrokiem; ponadto wierzy w jego powołanie i je wspiera.

Po wejściu do salezjańskiego kolegium w Sondrio, Carlo przeżywa trzecie i decydujące doświadczenie: poznaje księdza Rua, którego ma zaszczyt być małym sekretarzem przez jeden dzień. Ksiądz Rua uśmiecha się do Carlo i, powtarzając gest, który Ksiądz Bosko kiedyś wykonał z nim („Michelino, zawsze będziemy dzielić wszystko na pół”), „położył swoją rękę na jego dłonie i mówił: „zawsze będziemy przyjaciółmi”: jeśli siostra Giuditta uwierzyła w powołanie Carlo, ksiądz Rua teraz pozwala mu je zrealizować, „przechodząc przez wszystkie przeszkody”. Oczywiście Carlo Braga nie uniknie trudności na każdym etapie życia – jako nowicjusz, kleryk, a nawet inspektor – które będą się manifestować w ostrożnych opóźnieniach i czasami przybierać formę oszczerstw: ale on już nauczył się stawiać im czoła. Tymczasem staje się człowiekiem zdolnym do promieniowania niezwykłą radością, pokornym, aktywnym i o delikatnej ironii: wszystkie te cechy świadczą o równowadze osobowości i jego poczuciu rzeczywistości. Pod działaniem Ducha Świętego, ksiądz Braga rozwija w sobie promieniujące ojcostwo, któremu towarzyszy wielka czułość dla młodych mu powierzonych. Ksiądz Braga odkrywa miłość do swojego taty, przebacza mu i podejmuje podróż, aby się z nim pojednać. Poddaje się niezliczonym trudom, aby zawsze być wśród swoich Salezjanów i chłopców. Określa się jako ten, który „został postawiony w winnicy, aby być słupem”, czyli w cieniu, ale dla dobra innych. Pewien ojciec, powierzając mu swojego syna jako aspiranta salezjańskiego, mówi: „Z takim człowiekiem mogę cię nawet wysłać na Biegun Północny!”. Ksiądz Carlo nie oburza się na potrzeby dzieci, wręcz przeciwnie, uczy je, jak je wyrażać, jak zwiększać pragnienie: „Potrzebujesz jakiejś książki? Nie bój się, napisz dłuższą listę”. Przede wszystkim ksiądz Carlo nauczył się spoglądać na innych tym spojrzeniem miłości, którym sam był kiedyś dotknięty dzięki siostrze Giudittcie i księdzu Rua. Ksiądz

Giuseppe Zen, dziś kardynał, świadczy w długim fragmencie, który jednak zasługuje na to, aby być przeczytanym w całości i który zaczyna się od słów jego matki do księdza Bragi:

Słuchaj, ojcze, ten chłopiec nie jest już taki dobry. Być może nie nadaje się do przyjęcia tutaj. Nie chciałam, żebyś został oszukany. Gdybyś wiedział, jak bardzo byłam zdesperowana przez ostatni rok! Po prostu nie wiedziałam, co robić. A jeśli on sprawi, że ty też będziesz zdesperowany, po prostu mi powiedz, a ja natychmiast po niego przyjadę”.

Zamiast odpowiedzieć, spojrzał mi w oczy. Ja również na niego patrzyłem, ale ze spuszczoną głową. Czułem się jak oskarżony, a nie broniony przez adwokata. Ale sędzia był po mojej stronie. Jego spojrzenie rozumiało mnie natychmiast i lepiej niż wszystkie wyjaśnienia mojej matki. On sam, pisząc do mnie kilka lat później, zastosował słowa Ewangelii: „*Intuitus, dilexit eum*” („Spojrzawszy na niego, umiłował go”). I od tego dnia nie miałem już żadnych wątpliwości co do mojego powołania.

5. Anna Maria Lozano Díaz i owocna choroba ojca

Rodzice Laury i Carla w różny sposób okazali się „dalekimi” i „nieobecny”. Ostatnia postać, Anna Maria, świadczy natomiast o przeciwnym dynamizmie: o ojcu zbyt obecnym, który swoją obecnością otwiera córce nową drogę do uświęcenia. Anna urodziła się 24 września 1883 roku w Oicatà w Kolumbii, w licznej rodzinie, wyróżniającej się wzorowym życiem chrześcijańskim rodziców. Gdy Anna była bardzo młoda, tata – pewnego dnia, podczas mycia się – odkrywa podejrzaną plamę na nodze. To straszna chora – trąd, który przez jakiś czas udaje mu się ukryć, ale w końcu jest zmuszony to uznać, najpierw zgadzając się na separację od rodziny, a następnie na ponowne połączenie z nią w lazarecie Agua de Dios. Żona heroicznie mu powiedziała: „Twoje przeznaczenie to nasze”. Tak więc zdrowi akceptują ograniczenia, które wynikają z przyjęcia rytmu chorych. W tej sytuacji choroba ojca wpływa na wolność wyboru Anny Marii, zmuszając ją do planowania swojego życia w

lazarecie. Ponadto – jak już miało to miejsce w przypadku Laury – nie może zrealizować swojego powołania zakonnego z powodu choroby ojca: doświadcza wtedy wewnętrznie tego rozdarcia, które trąd wywołuje u chorych. Anna Maria jednak nie jest sama. Jak Ksiądz Bosko dzięki księdzu Calosso, Laura w spowiedniku, a Carlo w księdzu Rua, znajduje przyjaciela duszy. Jest nim błogosławiony ksiądz Alojzy Variara, salezjanin, który zapewnia ją: „Jeśli masz powołanie zakonne, zrealizuje się”, i angażuje ją w założenie Córek Najświętszych Serc Jezusa i Maryi w 1905 roku. To pierwszy Instytut, który przyjmuje w swoje szeregi kobiety trędowate lub córki trędowatych. Kiedy Lozano umiera 5 marca 1982 roku w prawie 99 lat, jako Matka Generalna przez ponad pół wieku, intuicja salezjanina księdza Variary zrealizowała się już w doświadczeniu, które potwierdziło i wzmocniło wymiar ofiarniczo-wynagradzający charyzmatu salezjańskiego.

6. Święci uczą

Pomimo ich znaczących różnic, losy Laury Vicuña (błogosławionej), Carlo Bragi i Anny Marii Lozano (sług Bożych) łączy kilka godnych uwagi aspektów:

a) Laura, Anna i Carlo, jak Ksiądz Bosko, cierpią z powodu sytuacji dyskomfortu i trudności, w pewien sposób związanych z ich rodzicami. Nie można zapomnieć o Mamie Małgorzacie, która zmuszona była oddalić Janka z domu, gdy brak autorytetu ojca ułatwia konfrontację z bratem Antonim; ani zapomnieć, że Laura była narażona na Mora i odrzucona przez Córki Maryi Wspomożycielki jako ich aspirantka; że Carlo Braga doświadczył nieporozumień i oszczerstw; czy że trąd ojca wydaje się w pewnym momencie odbierać Annie Marii wszelką nadzieję na przyszłość.

Rodzina, na różny sposób zraniona, przynosi zatem obiektywną szkodę tym, którzy w niej uczestniczą: nieuznawanie lub próba zredukowania rozmiaru tej szkody byłaby przedsięwzięciem równie iluzorycznym, co niesprawiedliwym. Każdej cierpieniu towarzyszy bowiem element straty, który „święci”, ze swoim realizmem, przechwytyją i uczą się nazywać

po imieniu.

b) Jan, Laura, Anna Maria i Carlo dokonują w tym momencie drugiego kroku, trudniejszego od pierwszego: zamiast biernie znosić sytuację lub narzekać na nią, z większą świadomością stają w obliczu problemu. Oprócz żywego realizmu, potwierdzają zdolność, typową dla świętych, do szybkiej reakcji, unikając autoreferencyjnego zamknięcia. Rozszerzają się w darze i wplatają ten dar w konkretne warunki życia. W ten sposób łączą *da mihi animas z caetera tolle*.

c) Ograniczeń i ran nie można nigdy usunąć: ale zawsze można je przyjąć i nazywać po imieniu; wręcz „zamieszkać” w nich. Nawet błogosławiona Alexandrina Maria da Costa i sługa Boży Nino Baglieri, czcigodny Andrea Beltrami i błogosławiony August Czartoryski, „zdobyci” przez Pana w warunkach ich choroby, błogosławiony Tytus Zeman, czcigodny sługa Boży José Vandor i sługa Boży Ignazio Stuchlý – część historii większej od nich samych, która wydaje się ich przytłaczać – uczą trudnej sztuki zatrzymania się w trudnościach i pozwolenia Panu, aby sprawił, że człowiek zakwitnie w nich. Wolność wyboru przyjmuje tutaj najwyższą formę wolności przyłgnięcia, w „*fiat!*”.

Nota Bibliograficzna:

Aby zachować charakter „świadectwa”, a nie „relacji” tego tekstu, uniknięto krytycznego aparatu przypisów. Zaznacza się jednak, że cytaty zawarte w tekście pochodzą z *Pamiętników Oratorium św. Jana Bosko*; z książki Marii Dosio, *Laura Vicuña. Ścieżka młodzieńczej świętości salezjańskiej*, LAS, Rzym 2004; z Don Carlo Braga opowiada swoją misjonarską i pedagogiczną doświadczenie (świadectwo autobiograficzne sługi Bożego) oraz z *Życia Księdza Carlo Bragi*, „*Księdza Bosko Chin*”, napisanego przez salezjanina księdza Mario Rassiga, obecnie dostępnego w formie kserokopii. Do tych źródeł dodaje się materiały z Procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych, dostępnych dla Księdza Bosko i Laury, jeszcze zastrzeżonych dla sług Bożych.

Sługa Boży Andrej Majcen: salezjanin wszystkim dla młodzieży

W tym roku przypada 25. rocznica odejścia do wieczności Sługi Bożego ks. Andreja Majcena. Jako nauczyciel w Radnej wstąpił w szeregi salezjanów z miłości do młodzieży. Życie w darze z siebie.

Pierwszą rzeczą jest fakt, że **ks. Andrej bardzo kochał młodzież**: dla niej poświęcił swoje życie Bogu jako salezjanin, kapłan, misjonarz. Bycie salezjaninem oznacza nie tylko oddanie życia Bogu: oznacza oddanie życia dla młodych. Tak więc bez młodych ks. Andrej Majcen nie byłby salezjaninem, kapłanem, misjonarzem: dla młodych dokonywał wymagających wyborów, akceptując warunki ubóstwa, trudności, zmartwień, aby „jego chłopcy” znaleźli dach nad głową, talerz do napełnienia żołądka i światło, które poprowadzi ich przez życie.

Pierwszym przesłaniem jest więc to, że ks. Majcen kocha młodych ludzi i wstawia się za nimi!

Drugą sprawą jest to, że **Andrej był młodym człowiekiem, który potrafił słuchać**. Urodzony w 1904 r., jeszcze jako dziecko w czasie I wojny światowej, chory i biedny, z bliznami po śmierci młodszego brata, Andrej nosił w sercu wielkie pragnienia, a przede wszystkim wiele pytań: był otwarty na życie i chciał zrozumieć, dlaczego zasługuje ono na przeżycie. Nigdy nie lekceważył pytań i zawsze był zaangażowany w poszukiwanie odpowiedzi, nawet w środowiskach innych niż jego własne, bez zamykania się i uprzedzeń. Jednocześnie Andrej był potulny: zwracał uwagę na to, co mówiła mu matka, ojciec, wychowawcy i o co go pytali... Andrej

ufał, że inni mogą mieć odpowiedzi na jego pytania i że w ich sugestiach nie było chęci zastąpienia go, ale wskazania mu kierunku, w którym będzie mógł podążać w swojej własnej wolności i na własnych nogach.

Jego ojciec, na przykład, poradził mu, aby zawsze był dobry dla wszystkich i że nigdy tego nie pożałuje. Pracował w sądzie, zajmował się sprawami spadkowymi, wieloma trudnymi sprawami, w których ludzie często się kłócą, a nawet najświętsze więzi są obrażane. Od swojego ojca Andrej nauczył się być dobrym, przynosić pokój, godzić napięcia, nie osądzać, być w świecie (z jego napięciami i sprzecznościami) jako sprawiedliwy człowiek. Andrej słuchał i ufał swojemu ojcu.

Jego matka była wielką kobietą modlitwy (Andrej uważał ją za zakonnicę w świecie i zwierzył się, że nie osiągnęła swojego oddania nawet jako zakonnica). W jego nastoletnich latach, kiedy mógł stracić kontakt z ideami i ideologiami, poprosiła go, aby codziennie chodził do kościoła na kilka chwil. Nic szczególnego ani zbyt długiego: *„Kiedy idziesz do szkoły, nie zapomnij wejść na chwilę do kościoła franciszkanów. Możesz wejść jednymi drzwiami i wyjść drugimi; zrobisz znak krzyża wodą święconą, odmówisz krótką modlitwę i powierzysz się Maryi”*. Andrej był posłuszny swojej matce i każdego dnia przychodził przywitać się z Maryją w kościele, mimo że „na zewnątrz” czekało na niego wielu towarzyszy i ożywione dyskusje. Andrej słuchał i ufał swojej matce, i odkrył, że w tym tkwiły korzenie wielu rzeczy, była więc z Maryją, która będzie mu towarzyszyć na zawsze. To właśnie te małe krople drążą w nas wielką głębię, prawie nie zdając sobie z tego sprawy!

Pewien profesor zaprosił go do biblioteki i tam otrzymał książkę *Aforyzmy* Th.G. Masaryka: polityka, człowieka władzy, dziś powiedzielibyśmy „laika”. Andrej przeczytał tę książkę i stała się ona decydująca dla jego rozwoju. Tam odkrył, co oznacza pewna ilość pracy nad sobą, kształtowanie charakteru, zaangażowanie. Andrej słuchał rad i słuchał Masaryka, nie pozwalając sobie na zbyt ni wpływ jego „Programu nauczania”, ale widząc dobro nawet w kimś dalekim od katolickiego sposobu

myślenia jego własnej rodziny. Odkrył, że istnieją uniwersalne wartości ludzkie i że istnieje wymiar zaangażowania i powagi, który jest „wspólną płaszczyzną” dla wszystkich.

Jako nauczyciel u salezjanów w Radnej, młody Majcen w końcu posłuchał tych, którzy – na różne sposoby – podsunęli mu pomysł **możliwej konsekracji**. Było wiele powodów, dla których Andrej mógł się wycofać: inwestycja rodziny w jego edukację; praca, którą znalazł zaledwie kilka miesięcy wcześniej; konieczność pozostawienia wszystkiego i narażenia się na całkowitą niepewność, gdyby mu się nie powiodło... W tym momencie był młodym mężczyzną patrzącym w przyszłość, który nie rozważał tej propozycji. Jednocześnie szukał czegoś więcej i czegoś innego, a jako człowiek i jako nauczyciel zdał sobie sprawę, że salezjanie nie tylko nauczają, ale także ukierunkowują na Jezusa, Mistrza Życia. Pedagogika księdza Bosko była dla niego tym „kawałkiem”, którego mu brakowało. Andrej wysłuchał propozycji powołaniowej, stoczył ciężką walkę podczas modlitwy na kolanach i zdecydował się ubiegać o przyjęcie do nowicjatu: nie minęło wiele czasu, ale poważnie się zastanowił, pomodlił i powiedział „tak”. Nie przegapił okazji, nie pozwolił, by ta chwila minęła...: słuchał, ufał, podjął decyzję, zgadzając się i wiedząc tak niewiele o tym, co go spotka.

Często wszyscy wierzymy, że widzimy siebie we własnym życiu, że posiadamy klucze do niego, jego tajemnicę: czasami jednak to właśnie inni zapraszają nas do wyprostowania naszego spojrzenia, naszych uszu i naszych serc, pokazując nam ścieżki, na które nigdy byśmy nie poszli sami. Jeśli ci ludzie są dobrzy i chcą naszego dobra, posłuszeństwo im jest ważne: w tym tkwi sekret szczęścia. Ks. Majcen zaufał, nie zmarnował lat, nie zmarnował życia... Powiedział „tak”. Podejmowanie decyzji w odpowiednim czasie było również wielkim sekretem zalecanym przez księdza Bosko.

Trzecią rzeczą jest to, że **Andrej Majcen pozwalał się zaskakiwać**. Zawsze przyjmował niespodzianki, propozycje i zmiany: na przykład spotkanie z salezjanami; potem spotkanie z

misjonarzem, które sprawiło, że zapłonął pragnieniem poświęcenia się dla innych w odległym kraju. Otrzymał także kilka niezbyt dobrych niespodzianek: udaje się do Chin, gdzie panuje komunizm; przepędzają go, wjeżdża do Wietnamu Północnego i tam komunizm również wyrządza szkody; przepędzają go, udaje się na południe, a następnie przybywa do Wietnamu Południowego; ale komunizm dociera również do tego obszaru i ponownie go przepędzają (brzmi to jak film akcji, z długim pościgiem z wyciem syren!). Wraca do domu, do swojej ukochanej Słowenii, a w międzyczasie zostaje tam ustanowiony reżim komunistyczny, dochodzi do prześladowań Kościoła. Co to ma być? Żart? Andrej nie narzekał! Żył przez dziesięciolecia w krajach ogarniętych wojną lub w sytuacjach zagrożenia, z prześladowaniami, sytuacjami kryzysowymi, żałobą... Spał przez ponad dwadzieścia lat, gdy za oknem strzelano... Innym razem płakał... A jednak – mimo że zajmował odpowiedzialne stanowiska i miał tak wiele istnień do uratowania – prawie zawsze był pogodny, z pięknym uśmiechem, tak wielką radością i miłością w sercu. Jak on to robił?

Nie wkładał swojego serca w wydarzenia zewnętrzne, w rzeczy, w to, czego nie można kontrolować lub... we własne plany („tak musi być, ponieważ tak zdecydowałem”: kiedy „tak nie jest”, wpadasz w kryzys). Zaufał Bogu, Zgromadzeniu i swoim drogim młodym ludziom. Wtedy był naprawdę wolny, świat mógł upaść, ale korzenie były bezpieczne. Korzenie były w *relacjach*, w dobrym sposobie *dawania siebie dla innym*; fundamentem było *coś, co nie przemija*.

Tak wiele razy wszystko, czego potrzebujemy, to przesunięcie małej rzeczy i złościmy się, ponieważ nie jest to zgodne z naszymi potrzebami, pragnieniami, planami lub oczekiwaniami. Andrej Majcen mówi mi, mówi nam: „bądź wolny!”, „powierz swoje serce tym, którzy go nie ukradną ani nie zniszczą”, „buduj na czymś, co pozostanie na zawsze!”, „wtedy będziesz szczęśliwy, nawet jeśli wszystko ci zabiorą i zawsze będziesz miał WSZYSTKO”.

Czwartą rzeczą jest kwestia, że ks. **Andrej Majcen** **dobrze robił rachunek sumienia**. Każdego dnia sprawdzał siebie,

gdzie postąpił dobrze, gorzej lub źle. Kiedy miał okazję (np. kiedy nie było już bomb w pobliżu jego domu lub Wietkongu w niewielkiej odległości itp.), brał notatnik, zapisywał pytania, rozważał Słowo Boże, sprawdzał, czy wprowadził je w życie... Zadawał sobie pytania.

Dziś żyjemy w społeczeństwie, które przywiązuje wielką wagę do zewnętrżności: ona również jest darem (np. dbanie o siebie, ubieranie się z przyzwoitością, dobre prezentowanie się), ale to nie wszystko. Musimy kopać w sobie, sięgać głęboko – może z pomocą kogoś.

Andrej zawsze miał odwagę spojrzeć sobie w twarz, zajrzeć do własnego serca i sumienia, poprosić o przebaczenie. Czyniąc to, napotkał pewne niezbyt piękne aspekty siebie, nad którymi musiał pracować i którym musiał się powierzyć: ale zobaczył też tak wiele dobra, piękna, czystości, miłości, które w przeciwnym razie pozostałyby „pod radarem”.

Wiele razy potrzeba więcej odwagi, by podróżować w głąb siebie niż by udać się na drugi koniec świata! Ks. Andrej Majcen odbył obie te podróże: ze Słowenii dotarł na Daleki Wschód, a jednak najbardziej wymagająca trasa zawsze pozostawała – do samego końca – w jego własnym sercu.

Augustyn, młody człowiek, który szukał prawdy na wiele sposobów, zanim spotkał ją w osobie Jezusa, w sobie, mówi: *„Noli foras ire, redi in te ipsum, in interiore homini habitat veritas”* („Nie chciej wychodzić na zewnątrz, wróć do siebie, prawda mieszka we wnętrzu człowieka”).

I tak kończę małym ćwiczeniem z łaciny: języka bardzo drogiego naszemu Andrejowi i związanego z jego rozeznawaniem powołania. Ale to naprawdę byłaby..., przynajmniej na razie, inna historia!

Spotkanie z Verą Gritą od Jezusa, Służebnicą Bożą

Vera Grita, wraz z Alexandriną Marią da Costa (z Balazar), obie Salezjanki Współpracowniczki, są wyraźnymi świadkami Jezusa obecnego w Eucharystii. Są darem Opatrzności dla Zgromadzenia Salezjańskiego i dla Kościoła, przypominając nam ostatnie słowa Ewangelii Mateusza: „Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Zaproszenie do spotkania

W ostatnich latach do grona świętości Rodziny Salezjańskiej dołączyła Vera Grita (1923-1969), świecka, konsekrowana ślubami prywatnymi, Salezjanka Współpracownica, mistyczka. Vera jest obecnie Służebnicą Bożą (zakończyła się faza diecezjalna, a obecnie trwa rzymska faza procesu), a jej znaczenie dla nas wynika zasadniczo z dwóch powodów: jako Współpracownica, charyzmatycznie należy do wielkiej Rodziny Księdza Bosko i możemy czuć, że jest „siostrą”; jako mistyczka, Pan Jezus „podyktował” jej Dzieło Żywych Tabernakulów (Dzieło Eucharystyczne o szerokim zasięgu eklezjalnym), które z woli Nieba zostało powierzone przede wszystkim salezjanom. Jezus usilnie wzywa salezjanów, aby poznawali, przeżywali, pogłębiali i dawali świadectwo o tym Jego Dziele Miłości w Kościele, dla każdego człowieka. Poznanie Very Grity oznacza więc dzisiaj uświadomienie sobie wielkiego daru ofiarowanego Kościołowi przez synów Księdza Bosko i zharmonizowanie się z prośbą Jezusa, aby to sami salezjanie strzegli tego cennego skarbu i dawali go innym, całkowicie się angażując w to.

Fakt, że to Dzieło jest przede wszystkim eucharystyczne (... „Żywe Tabernakulum”) i maryjne (Maryja Niepokalana, Matka Boża Bolesna i Matka Boża Nieustającej Pomocy Chrześcijan, Matka Dzieła), odnosi nas do „snu o dwóch kolumnach” księdza Bosko, w którym statek Kościoła znajduje

bezpieczeństwo przed atakiem wrogów, zakotwicząc się na dwóch filarach: Maryi Dziewicy i Najświętszej Eucharystii.

Istnieje zatem wielka, konstytutywna salezjańska w życiu Very: to pomaga nam poczuć ją blisko, nową przyjaciółką i duchową siostrę. Bierze nas za rękę i prowadzi – z typową dla siebie łagodnością i siłą – do odnowionego, pięknego spotkania z Jezusem w Eucharystii, aby Go przyjąć i zanieść innym. Jest to również gest przygotowania do Bożego Narodzenia, ponieważ Maryja („złote tabernakulum”) przynosi i daje nam Jezusa: Słowo życia (por. 1 J 1, 1), które stało się ciałem (por. J 1, 14).

Profil biograficzno-duchowy Very Gity

Vera Grita urodziła się w Rzymie 28 stycznia 1923 roku, jako druga z czterech córek Amleto Gity i Marii Anny Zacco della Pirrera. Jej rodzice pochodzili z Sycylii: Amleto należał do rodziny fotografów; Maria Anna była córką barona Modican i, wychodząc za mąż wbrew woli ojca, na zawsze straciła wszelkie przywileje i możliwość kultywowania jakichkolwiek więzi z rodziną pochodzenia. Vera urodziła się z emocjonalnego rozdarcia, ale także z wielkiej miłości, której jej rodzice wiedzieli, jak pozostać wiernym przez wiele prób.

Antyfaszyzm ojca Amleto, kradzież sprzętu fotograficznego, a przede wszystkim kryzys 1929-30 mają poważne konsekwencje dla rodziny Gritów: w krótkim czasie stają się biedni i nie są w stanie zapewnić rozwoju swoich córek. Tak więc, podczas gdy Amleto, Maria Anna i ich najmłodsza córka Rosa pozostali razem i ponownie wyruszyli z Savony w Ligurii, Vera dorastała ze swoimi siostrami Giuseppiną i Lilianą w Modica z ciotkami ojca: kobietami wiary i talentu, w pełni w świecie, ale „nie ze świata” (por. J 17). W Modica – sycylijskim mieście wpisanym na listę dziedzictwa UNESCO ze względu na przepych baroku – Vera uczęszczała do Córek Maryi Wspomożycielki i przyjęła Pierwszą Komunię Świętą i Bierzmowanie. Pociąga ją życie modlitwy i jest uważna na potrzeby bliźnich, milcząc o własnych cierpieniach, aby być „matką” swojej młodszej siostry Liliany. W dniu swojej

Pierwszej Komunii Świętej nie chce już zdejmować białego habitu, ponieważ jest świadoma wartości tego, czego doświadczyła i wszystkiego, co to oznacza.

Po powrocie do rodziny w 1940 r. Vera uzyskała dyplom nauczycielki. Przedwczesna śmierć jej ojca Amleto w 1943 roku zmusiła ją do pomocy rodzinie w pracy, przez co zrezygnowała z upragnionego nauczania.

3 lipca 1944 r. – w wieku 21 lat, szukając schronienia przed nalotem – Vera została potrącona i stratowana przez uciekający tłum: leżała na ziemi przez wiele godzin, poraniona, posiniaczona, z poważnymi obrażeniami, uważana za zmarłą. Jej ciało zostało naznaczone bliznami na całe życie, a z czasem dolegliwości, takie jak choroba Addisona (która wyczerpuje hormon odpowiedzialny za radzenie sobie ze stresem) i ciągłe operacje, w tym usunięcie macicy w młodym wieku, zebrały swoje żniwo. Wydarzenia z 3 lipca i pogorszony obraz kliniczny uniemożliwiły jej założenie rodziny, czego by sobie życzyła. *Od tego momentu nastąpił ciąg hospitalizacji, operacji, analiz, rozdzierających bólów głowy i całego ciała. Diagnozowano straszne choroby, próbowano różnych kuracji. Uszkodzone narządy nie reagowały na leczenie i w tym niewytłumaczalnym stanie jeden z jej lekarzy prowadzących, zdumiony [,] oświadczył: „Nie jest zrozumiałe, jak to możliwe, że pacjentka mogła znaleźć równowagę”.*

Przez 25 lat, aż do końca swojego ziemskiego życia, Vera Grita odważnie znosiła cierpienie, które pogłębiało się w cierpienie moralne i duchowe, i ukrywała je z dyskrecją i uśmiechem, nie przestając poświęcać się innym. Jej ciało stało się „ciężkie” (choć pełne wdzięku: Vera zawsze była bardzo kobieca i piękna), ciało, które narzucało ograniczenia, powolność i zmęczenie na każdym kroku.

Mając trzydzieści pięć lat, z wielką siłą woli zrealizowała swoje marzenie o nauczaniu i od 1958 do 1969 roku była nauczycielką w szkołach w trudno dostępnych zakątkach Ligurii: z małymi klasami i czasami upośledzonymi lub upośledzonymi uczniami, którym dawała pewność siebie, zrozumienie i radość, posuwając się tak daleko, że

zrezygnowała z lekarstw, aby kupić toniki niezbędne do ich rozwoju. Nawet w rodzinie jest dla swoich siostrzenic bardziej „mamą” niż ich matki, co świadczy o bardzo dobrej wrażliwości wychowawczej i wyjątkowej zdolności generatywnej, po ludzku nierozzerwalnie związanej z jej wypróbowanymi warunkami (por. Iz 54). Kiedy relacje z innymi, sytuacje, problemy wydają się brać górę i Vera doświadcza ludzkiego zniechęcenia lub jest kuszona do buntu, z powodu odczuwanego poczucia niesprawiedliwości, wie, jak ponownie odczytać historię w świetle Ewangelii i pamiętać o swoim „miejscu” jako „małej ofiary”: *Dzisiaj [...] – napisze pewnego dnia do swojego duchowego ojca – widzę rzeczy w ich wartości. Zachowajmy spokój w posłuszeństwie*, zalecił jej ten kapłan.

19 września 1967 r., modląc się przed Najświętszym Sakramentem wystawionym w małym kościółku Maryi Wspomożycielki w Savonie, odczuła wewnętrznie pierwsze z długiej serii Orędzi, które Niebo przekazuje jej w krótkim czasie dwóch lat i które stanowią „Dzieło Żywych Tabernakulów”: Dzieło Miłości, z którym Jezus w Eucharystii chce być poznany, kochany i przyniesiony duszom, w świecie, który wierzy Mu i szuka Go coraz mniej. Dla niej jest to początek relacji coraz pełniejszej z Panem, który wkracza w jej codzienne życie ze swoją Obecnością, w konkretnym dialogu, jak dwoje kochanków, uczestnicząc we wszystkim w egzystencji Very (Jezus dyktuje swoje myśli, nawet gdy Vera pisze list, więc list jest pisany „czterema rękami”, z największą znajomością). Od „przynoszenia Jezusowi” do „przynoszenia Jezusa”.

Vera podporządkowała wszystko swojemu duchowemu ojcu i posłuszeństwu Kościołowi, na wysokim poziomie uległości im, posłuszeństwa, ogromnej pokory: Jezus wziął „nauczycielkę” i umieścił ją w szkole Swojej Miłości, ucząc ją poprzez Orędzia, a przede wszystkim wzywając ją do spójności wiary i życia. Jest bardzo słodkim, a jednocześnie bardzo wymagającym Oblubieńcem w szkoleniu jej na cnotliwą drogę: ucieka się do obrazów kopania, pracy, dłuta, młota z jego „uderzeniami”, aby nauczyć Verę, ile musi od niej zabrać, ile pracy należy wykonać w duszy, aby mogła być prawdziwą Świątynią Bożej

Obecności: *Pracuję w tobie uderzeniami dłuta [...]. Jałowość, małe i duże krzyże są moim młotem. Tak więc w pewnych odstępach czasu nadejdzie cios, mój cios. Muszę zabrać ci wiele, wiele rzeczy: opór wobec mojej miłości, nieufność, lęki, egoizm, bezużyteczne niepokoje, niechrześcijańskie myśli, światowe nawyki. Uległość Very jest codzienną ascezą, pokorą tego, kto dotyka granicy, ale czyni ją dostępną Bożej wszechmocy i miłosierdziu. Jezus, poprzez nią, uczy drogi świętości, która – jeśli jest ewidentnie ukierunkowana na przyjęcie pełni Jego Życia – wyraża się poprzez „mniej” tego, czym jesteśmy i opieramy się Jemu: świętość... poprzez „odejmowanie”, aby stać się przejrzystością Jego. Pierwszą cechą Tabernakulum jest w rzeczywistości bycie pustym i gotowym na przyjęcie Obecności. Jak napisała mistrzyni nowicjatu w benedyktyńskim klasztorze Najświętszego Sakramentu: *Myśli, które pisze, są o Jezusie. Jakże czyste są nawet jej teksty! Czasami, nawet w dziennikach duchowych świętych i pięknych dusz, pojawia się tyle subiektywizmu [...]* i słusznie, że tak powinno być. [...] Vera [zamiast tego] znika, nie ma jej [,] nie mówi się o niej (por.).*

Vera pewnego dnia napisze: *Moje uczennice są częścią mnie, mojej miłości do Jezusa.* Jest to dojrzały owoc życia eucharystycznego, który czyni ją „chlebem łamanym” z Jediną Ofiarą. Bez Jezusa nie mogłaby już żyć: *Pragnę Jezusa bez względu na wszystko. Nie mogę już żyć bez Niego, nie mogę.* To oświadczenie „ontologiczne” mówi o nierozzerwalnej więzi między nią a jej eucharystycznym Oblubieńcem.

Vera Grita otrzymała pierwsze orędzie, po którym nastąpiło osiem lat milczenia, w Alpicella (Savona) 6 października 1959 roku. 2 lutego 1965 r. złożyła śluby wieczystej czystości i „małej ofiary” za kapłanów, którym służyła ze szczególną delikatnością i oddaniem. 24 października 1967 r. została Salezjanką Współpracownicą. Intensywnie kochała Maryję, której się poświęciła, i przeżywała swoją synowską relację z Nią w duchu Montfortowskiej „niewoli miłości”. Później ofiarowała się w innych intencjach, o charakterze kościelnym: w szczególności

za kapłanów, którzy w okresie „roku '68” porzucili swoje powołanie, pozostając jednak umiłowanymi synami, nigdy nie oddalając się od Serca Chrystusa, jak On sam zapewnia.

Uważana za godną wiary, bardzo kochaną i szanowaną, w opinii świętości, Vera zmarła w szpitalu „Santa Corona” w Pietra Ligure (Savona) 22 grudnia 1969 r. na wstrząs hipowolemiczny z powodu masywnego krwotoku i wynikającej z niego niewydolności wielonarządowej: „oblubienica krwi”, jak została nazwana przez Jezusa w Orędziach, na długo zanim zrozumiała, co to znaczy.

Kilka chwil później kapelan – gestem równie spontanicznym, co niezwykłym – wzniosł jej szczątki do nieba, modląc się i ofiarując wszystko, przedstawiając Verę jako ofiarę powitalną: *consummatum est!* Był to ostatni z serii gestów, które przerywały życie Służebnicy Bożej i które, w inny sposób, ona sama wykonywała: znak wielkiego krzyża; dobrze wykonane, powolne ukłony; Święte Schody na kolanach z książeczkami, w których przepisywała Orędzia Dzieła; ofiara z siebie przyniesiona nawet do św. Piotra. Kiedy nie rozumiała, w zmęczeniu, a czasem w zwątpieniu, Vera Grita *działała*: wiedziała, że najważniejszą rzeczą nie jest jej własne uczucie, ale obiektywność Bożego Dzieła w niej i przez nią. Pisała o sobie: *Jestem „ziemią” i nie przydaję się do niczego poza pisanem pod dyktando; Czasami rozumiem i nie rozumiem; Jezus mnie nie opuszcza, ale używa tej szmaty do swoich Boskich Planów.* Kierownik duchowy, zdumiony, skomentował pewnego dnia – odnosząc się do słów Orędzi -: „Uważam je za wspaniałe, wręcz błogosławiące. I jak możesz pozostać sucha?”. Vera nigdy nie patrzyła na siebie i, jak dla każdego mistyka, silniejsze światło stało się dla niej ciemną nocą, jasną ciemnością, dowodem wiary.

Osiem lat później, 22 września 1977 r., papież Paweł VI (który był już odbiorcą niektórych orędzi Dzieła i który w 1972 r. ustanowił nadzwyczajnych szafarzy Eucharystii), przyjął na audiencji ojca duchowego Very Grita, ks. Gabriello Zucconi sdb, i pobłogosławił Dzieło Żywych Tabernakulów.

18 maja 2023 r. biskup Savony-Noli, monsignore Calogero Marino, „zatwierdził Statut Stowarzyszenia „Opera dei Tabernacoli Viventi”, a 19 maja erygował je jako prywatne stowarzyszenie wiernych, uznając także jego osobowość prawną”. Przełożony Generalny salezjanów, kard. Artime, już w 2017 r. upoważnił i zobowiązał Postulację SDB do „towarzyszenia wszystkim niezbędnym krokom, aby Dzieło [...] było nadal studiowane, promowane w naszym Zgromadzeniu i uznawane przez Kościół, w duchu posłuszeństwa i miłości”.

Być i stawać się „Żywymi Tabernakulami”

W centrum Orędzi do Very jest Jezus obecny w Eucharystii: wszyscy mamy doświadczenie Eucharystii, jednak należy zauważyć (por. teolog ks. François-Marie Léthel, ocd), jak Kościół z czasem pogłębił znaczenie Sakramentu Ołtarza, od odkrycia do odkrycia: na przykład od *celebracji* do *wystawienia* Najświętszego Sakramentu i od *wystawienia* do *adoracji* Eucharystii... Jezus prosi, za pośrednictwem Very, o kolejny krok: od adoracji w kościele, gdzie trzeba iść, aby Go spotkać, do: „Weź mnie ze sobą! ” (por. niżej), poprzez które On sam, zamieszkawszy w swoim Żywym Tabernakulum (w nas), chce opuścić kościoły, aby dotrzeć do tych, którzy do kościołów spontanicznie by nie weszli; tych, którzy Mu nie wierzą; nie szukają Go; nie kochają Go, a nawet wyraźnie wykluczają Go ze swojej egzystencji. Łaska charyzmatyczna związana z Dziełem jest w rzeczywistości **trwałą obecnością eucharystyczną Jezusa w duszy**, tak że ten, kto przyjmuje Jezusa-Eucharystię we Mszy Świętej i odpowiada wrażliwie na Jego wezwania i Jego Obecność, promieniuje Nim w świecie, dla każdego brata, a zwłaszcza dla najbardziej potrzebujących. W ten sposób Vera Grita staje się przykładem i wzorem (w dosłownym tego słowa znaczeniu: tej, która już przeżyła to, czego wymaga się od każdego) życia spędzonego w głębokiej relacji ciało-ciało z Panem Eucharystycznym, aż On sam będzie patrzył, mówił, działał poprzez „duszę”, która Go nosi i daje. Jezus mówi: „Użyję twojego sposobu mówienia, wyrażania siebie, aby mówić, aby dotrzeć do innych dusz. Daj Mi swoje zdolności, abym mógł

spotkać się z każdym i w każdym miejscu. Na początku będzie dla duszy praca uwagi, czujności, aby odrzucić od siebie wszystko, co stanowi przeszkodę dla mojej Stałości w niej. Moje łaski w duszach powołanych do tego Dzieła będą stopniowe. Dziś przynosisz Mnie do rodziny, Mój pocałunek; innym razem, coś więcej i więcej, aż, prawie bezwiednie dla samej duszy, będę czynił, działał, mówił, kochał przez nią tylu, ilu zbliży się do tej duszy, to znaczy do Mnie. Są tacy, którzy działają, mówią, patrzą, pracują, czując się prowadzeni tylko przez Mojego Ducha, ale Ja już jestem Żywym Tabernakulum w tej duszy, a ona o tym nie wie. Musi to jednak wiedzieć, ponieważ chcę jej przyłgnięcia do mojej EUCHARYSTYCZNEJ OBECNOŚCI w jej duszy; chcę również, aby ta dusza dała Mi swój głos, aby mówić do innych ludzi, jej oczy, aby moje mogły spotkać się ze spojrzeniem jej braci, jej ramiona, abym mógł objąć innych, jej ręce, aby pieścić maluczkich, dzieci, cierpiących. Podstawą tego Dzieła jest jednak **miłość** i **pokora**. Dusza musi zawsze mieć przed oczami swoje własne nieszczęścia, swoją własną nicość i nigdy nie zapominać, z jakiego ciasta została ugnieciona" (Savona, 26 grudnia 1967 r.).

W ten sposób można również zrozumieć kolejny aspekt „salezjańskiego” znaczenia charyzmatu: bycie dla innych; posłanie w szczególności do maluczkich, ubogich, ostatnich, dalekich; życie „wewnętrznością apostolską”, która oznacza bycie całym w Bogu i całym dla brata; wielka łagodność tych, którzy nie znoszą siebie, ale promieniają łagodnością, łagodnością i radością ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Pana; uprzywilejowana uwaga dla młodych, którzy są również wezwani do uczestnictwa w tym powołaniu.

Vera – której spowiednikiem w życiu był salezjanin (ksiądz Giovanni Bocchi) i której ojcem duchowym był również salezjanin (ksiądz Gabriello Zucconi) i „referent” doświadczenia mistycznego (ksiądz Giuseppe Borra) – powraca dzisiaj, aby zapukać do drzwi dzieci Księdza Bosko. Samo Dzieło narodziło się w Turynie, w kolebce charyzmatu salezjańskiego.

Źródła bibliograficzne:

Centro Studi "Opera dei Tabernacoli Viventi" (a cura di), [Portami con Te! L'Opera dei Tabernacoli Viventi nei manoscritti originali di Vera Grita](#), ElleDiCi, Torino 2017.

Centro Studi "Opera dei Tabernacoli Viventi" (a cura di), [Vera Grita una mistica dell'Eucaristia. Epistolario di Vera Grita e dei Sacerdoti Salesiani don G. Bocchi, don G. Borra e don G. Zucconi](#), ElleDiCi, Torino 2018.

Oba teksty zawierają studia historyczno-biograficzne, teologiczno-duchowe, salezjańskie i eklezjalne Dzieła.

Matko Jezusa, Matko pięknej Miłości, daj miłość mojemu biednemu sercu, daj czystość i świętość mojej duszy, daj wolę mojemu charakterowi, daj święte światła mojemu umysłowi, daj mi Jezusa, daj mi swojego Jezusa na zawsze. (Modlitwa do Maryi, której Jezus uczy Verę Gritę)

Laura Vicuña: córka, która „urodziła” swoją matkę

Historie zranionych rodzin

Przyzwyczailiśmy się wyobrażać sobie rodzinę jako harmonijną rzeczywistość, charakteryzującą się obecnością kilku pokoleń i przewodnią rolą rodziców, którzy ustanawiają normy, oraz dzieci, które – ucząc się ich – są przez nie prowadzone w doświadczaniu rzeczywistości. Mimo to, rodziny często przemierzają przez dramaty i nieporozumienia lub naznaczone są ranami, które atakują ich optymalną konfigurację i nadają im zniekształcony, wypaczony i fałszywy obraz.

Historia świętości salezjańskiej jest również poprzecinana historiami zranionych rodzin: rodzin, w których brakuje przynajmniej jednej z postaci rodzicielskich lub

obecność matki czy ojca staje się, z różnych powodów (fizycznych, psychicznych, moralnych i duchowych), karą dla ich dzieci, które są teraz w drodze do chwały ołtarzy. Sam ksiądz Bosko, który doświadczył przedwczesnej śmierci ojca i odsunięcia od rodziny przez roztropną wolę mamy Małgorzaty, pragnął – to nie przypadek – dzieła salezjańskiego szczególnie poświęconego „ubogiej i opuszczonej młodzieży” i nie wahał się dotrzeć do młodych ludzi uformowanych w jego oratorium z intensywnym duszpasterstwem powołaniowym (pokazując, że żadna rana z przeszłości nie jest przeszkodą dla pełnego życia ludzkiego i chrześcijańskiego). Jest zatem rzeczą naturalną, że sama świętość salezjańska, która czerpie z życia wielu młodych ludzi przy księdzu Bosko, poświęconych później przez niego dla sprawy Ewangelii, nosi w sobie – jako logiczną konsekwencję – ślady zranionych rodzin.

Spośród tych chłopców i dziewcząt, którzy dorastali w kontakcie z dziełami salezjańskimi, przedstawiamy błogosławioną Laurę Vicuña, urodzoną w Chile w 1891 r., bez ojca, której matka żyła w konkubinacie w Argentynie z bogatym właścicielem ziemskim Manuelem Morą; Laura, zraniona sytuacją nieregularności moralnej matki, była gotowa ofiarować za nią swoje życie.

Krótkie, ale intensywne życie

Urodzona w Santiago de Chile 5 kwietnia 1891 r. i ochrzczona 24 maja następnego roku, Laura była najstarszą córką José D. Vicuña, upadłego szlachcica, który poślubił Mercedes Pino, córkę skromnych rolników. Trzy lata później pojawiła się młodsza siostra, Julia Amanda. Wkrótce jednak ojciec zmarł po porażce politycznej, która naruszyła jego zdrowie i naraziła na szwank, wraz ze wsparciem finansowym rodziny, także jego honor. Pozbawiona jakiegokolwiek „ochrony i perspektyw na przyszłość”, matka emigruje do Argentyny, gdzie ucieka się pod opiekę właściciela ziemskiego Manuela Mory: człowieka „o pysznym i wyniosłym charakterze”, który „nie kryje nienawiści i pogardy dla każdego, kto sprzeciwia się jego planom”. Krótko mówiąc, człowiek, który tylko pozornie

gwarantuje ochronę, ale w rzeczywistości jest przyzwyczajony do brania, w razie potrzeby siłą, tego, czego chce, wykorzystując ludzi. W międzyczasie płaci za naukę w szkole z internatem Córek Maryi Wspomożycielki dla Laury i jej siostry, a ich matka – która jest pod psychologicznym wpływem Mory – mieszka z nim, nie znajdując siły, by zerwać więź. Jednak, kiedy Mora zaczyna wykazywać oznaki nieuczciwego zainteresowania samą Laurą, a zwłaszcza gdy ta ostatnia wkracza na ścieżkę przygotowań do Pierwszej Komunii Świętej, nagle zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. W przeciwieństwie do swojej matki, która usprawiedliwia zło (konkubinat) dobrem (edukacja córek w szkole z internatem), Laura rozumie, że jest to moralnie nieuprawniony argument, który naraża duszę jej matki na poważne niebezpieczeństwo. W tym czasie Laura sama chciała zostać Córką Maryi Wspomożycielki: ale jej prośba została odrzucona, ponieważ była córką „publicznego konkubenta”. I właśnie w tym momencie w Laurze – przyjętej do szkoły z internatem, gdy „impulsywność, łatwość urazy, drażliwość, niecierpliwość i skłonność do pokazywania się” nadal w niej dominowały – zachodzi zmiana, którą może przynieść tylko łaska w połączeniu z zaangażowaniem osoby: prosi Boga o nawrócenie matki, ofiarowując się za nią. W tym momencie Laura nie mogła poruszać się ani „do przodu” (wstąpienie do Córek Maryi Wspomożycielki), ani „do tyłu” (powrót do matki i Mory). Tym gestem, charakteryzującym się kreatywnością typową dla świętych, Laura wkroczyła na jedyną drogę, która była jeszcze dla niej dostępna: drogę wysokości i głębi. W swoich postanowieniach z Pierwszej Komunii Świętej zaznaczyła:

Proponuję uczynić wszystko, co wiem i mogę, aby [...] zadośćuczynić za przewinienia, które Ty, Panie, otrzymujesz każdego dnia od ludzi, zwłaszcza od osób z mojej rodziny; mój Boże, daj mi życie pełne miłości, umartwienia i ofiary.

Teraz należy sfinalizować intencję zawartą w „Akcie ofiarowania”, który obejmuje ofiarę z samego życia.

Spowiednik, uznając, że natchnienie pochodzi od Boga, ale nieświadomy konsekwencji, zgadza się i potwierdza, że Laura jest „świadoma ofiary, którą właśnie złożyła”. Ostatnie dwa lata przeżywa w ciszy, z pogodą ducha i uśmiechem. A jednak spojrzenie, które rzuca na świat – co potwierdza fotograficzny portret, bardzo różniący się od znanej hagiograficznej stylizacji – mówi również o bolesnej świadomości i bólu, które ją zamieszkują. W sytuacji, w której brakuje jej zarówno „wolności od” (uwarunkowania, przeszkody, trudności), jak i „wolności do” robienia wielu rzeczy, ta nastolatka świadczy o „wolności dla”: całkowitym oddaniu siebie.

Laura nie gardzi, ale kocha życie: swoje i swojej matki. W tym celu ofiarowuje siebie. 13 kwietnia 1902 r., w Niedzielę Dobrego Pasterza, zadała sobie pytanie: „Jeśli On daje życie... co mnie powstrzymuje dla mamusi?”. Umierając, dodała: „Mamusiu, ja umieram, ja sama prosiłam Jezusa... przez prawie dwa lata ofiarowywałam Mu moje życie za ciebie..., aby uzyskać łaskę twojego powrotu”.

Są to słowa pozbawione żalu i wyrzutów, ale naładowane wielką siłą, wielką nadzieją i wielką wiarą. Laura nauczyła się akceptować swoją matkę taką, jaka jest. Ofiarowuje jej siebie, by dać jej to, czego sama nie może osiągnąć. Kiedy Laura umiera, mama się nawraca. *Laurita de los Andes*, córka, pomogła w ten sposób „narodzinach” swojej matki dla życia wiaty i łaski.

Czcigodny Sługa Boży
Costantino Vendrame: apostoł

Chrystusa

Sprawa kanonizacji sługi Bożego Konstantyna Vendrame posuwa się naprzód. W dniu 19 września 2023 r. tom „Positio super Vita, Virtutibus et Fama Sanctitatis” został dostarczony do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych w Watykanie. Przedstawmy pokrótce tego księdza profesora Towarzystwa Świętego Franciszka Salezego.

Od wzgórz weneckich po wzgórze północno-wschodnich Indii

Sługa Boży ks. Costantino Vendrame urodził się w San Martino di Colle Umberto (Treviso) 27 sierpnia 1893 roku. San Martino, przysiółek większego miasta Colle Umberto, to urocze włoskie miasteczko w regionie Veneto w prowincji Treviso: ze swoich wzgórz San Martino spogląda zarówno na równiny przecięte przez rzekę Piave, jak i na Alpy w rejonie Belluno, zachowując w tej podwójnej naturze bliskość większych skupisk ludzi i jednocześnie bliskość orzeźwiającego, onieśmielającego świata gór, którą przyszedł misjonarz ks. Costantino odnajdzie w północno-wschodnich Indiach, znajdując się między łańcuchem Himalajów a doliną Brahmaputry.

Jego rodzina należała do tego świata prostych ludzi: jego ojciec Pietro, z zawodu kowal i jego matka Elena Fiori, pochodząca z Cadore, najprawdopodobniej poznali się w górach. Więzy ks. Vendrame z rodzeństwem były silne: Giovanni, dla którego zachował żywą pamięć; Antonia, matka licznej rodziny; jego ukochana Angela, z którą połączyło go głębokie uczucie, w harmonii dzieł i intencji. Angela pozostanie – z żywiołową kreatywnością – w służbie parafii i będzie ofiarowywać cierpienia i zasługi za apostolsko-misyjne przedsięwzięcie swojego brata. W rodzinie żywa była również pamięć o starszym bracie Canciano, który odszedł do nieba w wieku zaledwie 13 lat.



Ochrzczony dzień po urodzeniu (28 sierpnia) i bierzmowany w listopadzie 1898 r., osierocony przez ojca, Costantino Vendrame przyjął Pierwszą Komunię 21 lipca 1904 r.; dzieciństwo spędzał na wykonywaniu codziennych obowiązków. Wtedy ukształtowało się jego kapłańskie powołanie. Być może ma ono swoje korzenie w zawierzeniu małego Costantino Matce Bożej – z inicjatywy jego matki – zawierzeniu, które dojrzało do pełniejszego oddania.

W rzeczywistości seminaryjnej – do którego Sługa Boży uczęszczał w Ceneda (Vittorio Veneto) z wieloma sukcesami – brakowało tego misyjnego oddechu, który on odczuwał. Dlatego zwrócił się do salezjanów i to właśnie w domu salezjańskim w Mogliano Veneto: *w małej portierni w 1912 r. z dobrym ks. Dones zdecydowałem o moim powołaniu salezjańskim i misyjnym.*

Ukończył etapy formacji zakonnej wśród synów księdza Bosko: jako aspirant (od października 1912 r. w Weronie), jako nowicjusz (od 24 sierpnia 1913 r. w Ivrea), jako profesor czasowy (w 1914 r.) i wieczysty (od 1 stycznia 1920 r. w Chioggia). Świecenia kapłańskie przyjął 15 marca 1924 r. w Mediolanie. Od momentu przyjęcia do nowicjatu był określany jako *bardzo stanowczy w praktyce i dobrze wykształcony*. Jego oceny w seminarium zawsze były doskonałe i stąd wchodzi dobrze do Towarzystwa św. Franciszka Salezego.

Jego curriculum naznaczone było obowiązkową służbą wojskową. Były to lata Wielkiej Wojny: 1914-1918 (dla Włoch: 1915-1918). W tych chwilach kleryk Vendrame nie wycofał się; otworzył się na swoich przełożonych; dotrzymał swoich zobowiązań. Lata Pierwszej Wojny Światowej jeszcze bardziej wykuły w nim odwagę, która tak bardzo przydała mu się w jego misjach.

Misjonarz ognia



Ks. Costantino Vendrame otrzymał krzyż misyjny w Bazylice Maryi Wspomożycielki w Turynie 5 października 1924 roku. Kilka tygodni później wyruszył z Wenecji do Indii: celem był Assam, na północnym wschodzie. Przybył tam na czas przed Bożym

Narodzeniem. Na małym obrazku napisał: *Najświętsze Serce Jezusa, wszystko Ci powierzyłem, we wszystkim Ci zaufałem i nie pomyliłem się*. Wraz z braćmi medytował podczas podróży *Spotkanie z Królem Miłości: Wszystko tu jest: cała Ewangelia, całe Prawo. Umiłowałem was [...]. Umiłowałem was bardziej niż moje życie, ponieważ oddałem za was moje życie – a kiedy ktoś oddaje swoje życie, oddaje wszystko*. To był program jego misyjnego zaangażowania.

W porównaniu z młodszymi salezjanami, którzy większość drogi do ślubów odbywali w Indiach, on przybywa tam jako człowiek już w pełni sił: ma 31 lat i może skorzystać nie tylko z ciężkiego doświadczenia wojennego, ale także z praktyki we włoskich oratoriach. Czeka na niego piękna i trudna kraina, w której dominuje pogaństwo „animistyczne”, a niektóre sekty protestanckie żywią postawę uprzedzonej nieufności lub otwartej opozycji wobec Kościoła katolickiego. Wybiera kontakt z ludźmi, decyduje się zrobić pierwszy krok: zaczyna od dzieci, które uczy modlić się i pozwala im się bawić. To właśnie ci „mali przyjaciele” (kilku katolików, kilku protestantów, prawie wszyscy poganie), którzy rozmawiają o Jezusie i katolickim misjonarzu w rodzinie, pomagają ojcu Vendrame w jego apostołacie. Towarzyszyli mu jego współbracia – którzy z biegiem lat uznali go za „pioniera” salezjańskiej działalności misyjnej w Assam – i dobrzy świeccy współpracownicy, formowani z biegiem czasu.

Z tego wczesnego okresu pozostały jego cechy jako misjonarza „ognia”, ożywionego jedynym celem: chwałą Bożą i zbawieniem dusz. Jego styl stał się stylem apostoła pogan, do którego będzie porównywany ze względu na skuteczność jego głoszenia i silne przyciąganie pogan do Chrystusa. *Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii!* (por. 1 Kor 9, 16), mówi swoim życiem ks. Vendrame. Naraża się na wszelkie zużycie, byle tylko Chrystus był głoszony. Zaprawdę, także dla niego: *Niezliczone podróże, niebezpieczeństwa ze strony rzek [...], niebezpieczeństwa ze strony pogan [...]; trudy i znoje, czuwania bez liku, głód i*

pragnienie, częste posty, zimno i nagość (por. 2 Kor 11, 26-27). Sługa Boży staje się wędrowcem w północno-wschodnich Indiach otoczonym wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwami; utrzymuje się z bardzo skromnego stypendium; musi stawić czoła późnym nocnym powrotom lub nocom spędzonym niemal na mrozie.

Zawsze w okopach

W momencie wybuchu II Wojny Światowej i w latach, które po niej nastąpiły, ks. Costantino Vendrame był w stanie wykorzystać – w okresach szczególnego zmęczenia „środowiskowego” (obozy wojskowe; skrajne ubóstwo w południowych Indiach) i trudności „kościelnych” (ostre opozycje w północno-wschodnich Indiach) – całe wcześniejsze doświadczenie: będąc w areszcie Gurkhów; w Deoli; w Dehra Dun; jako misjonarz w Wandiwash w Tamil Nadu; w Mawkhar w Assam. W Deoli jest „rektorem” zakonników w obozie; również w Dehra Dun jest wielkim przykładem.

Wyzwolony pod koniec wojny, z powodów politycznych całkowicie niezależnych od jego osoby, ks. Vendrame – który miał już ponad 50 lat i był wyczerpany niedostatkami – zostaje przydzielony przez bpa Louisa Mathiasa, arcybiskupa Madrasu, do Tamil Nadu. Tam ks. Costantino musiał zacząć wszystko od nowa: raz jeszcze będzie wiedział, jak sprawić, aby był głęboko kochany, będąc świadomy – jak napisał w liście z 1950 r. do swoich braci kapłanów w diecezji Vittorio Veneto – niezwykle trudnych warunków jego mandatu misyjnego:

Był przekonany, że wszędzie tam jest dobro do uczynienia, gdzie są dusze do zbawienia. Pozostał tam *ad experimentum*, aby zagwarantować ciągłość tej biednej misji, po czym powrócił w końcu do Assam: mógł odpocząć, ale planowano wtedy ustanowienie katolickiej obecności w Mawkhar, dzielnicy Shillong, uważanej wówczas za „bastion” protestantów.

I to właśnie w Mawkhar Sługa Boży dokonał swojego „arcydzieła”: narodzin katolickiej wspólnoty, która kwitnie do dziś, w której – w latach dalekich od dzisiejszej ekumenicznej wrażliwości – obecność katolików była najpierw ostro kontestowana, potem tolerowana, następnie akceptowana i

wreszcie szanowana. Jedność i miłosierdzie, których świadkiem był ks. Vendrame, były dla Mawkhara bezprecedensowym i „skandalicznym” głosem, które podbiło najtwardsze serca i przyciągnęło życzliwość wielu: przyniósł on „miód św. Franciszka” – czyli salezjańską życzliwość, inspirowaną łagodnością salezjanów – do kraju, w którym dusze były zamknięte.

W kierunku mety

Kiedy ból kości stał się natarczywy, przyznał w liście: *z trudem byłem w stanie kontrolować pracę w ciągu dnia*. Zaczyna się ostatni odcinek jego ziemskiej podróży. Nadchodzi dzień, w którym poprosił o sprawdzenie, czy zostało jakieś jedzenie: nietypowa prośba jak na ks. Vendrame, który zazwyczaj przygotowywał sobie wystarczającą ilość niezbędnych rzeczy, a wracając późno, nigdy nie chciał przeszkadzać w kolacji. Tego wieczoru nie mógł nawet wyartykułować kilku zdań: był wyczerpany, przedwcześnie postarzały. Milczał do samego końca, padając ofiarą artretyzmu, który dotknął również jego kręgosłup.

Powinien być hospitalizowany, ale gdzie indziej: w Dibrugarh: oszczędziłoby mu to ciągłego napływu ludzi, a ludziom bólu bezradnego patrzenia na agonię ojca. Sługa Boży posunął się aż do omdlenia z bólu: każdy ruch stawał się dla niego straszny.

Bp Orestes Marengo – jego przyjaciel i były wychowanek, biskup Dibrugarh, Siostry Maryi od Dzieciątka Jezus, niektórzy świeccy, personel medyczny, w tym wiele pielęgniarek, przekonali się wtedy o jego łagodności.

Wszyscy uznali go za prawdziwego męża Bożego: nawet niechrześcijanie. Ks. Vendrame w swoim cierpieniu mógł powiedzieć, jak Jezus: *Nie jestem sam, bo Ojciec jest ze Mną* (por. J 16, 32).

Zmęczony chorobą i powikłaniami związanymi z zastoinowym zapaleniem płuc, zmarł 30 stycznia 1957 r., w wigilię uroczystości św. Jana Bosko. Zaledwie kilka dni wcześniej (24 stycznia), w swoim ostatnim liście do siostry Angeli, wyrażał gotowość do przedsięwzięć apostolskich, pogodny w cierpieniu,

zawsze człowiek nadziei.

Był tak biedny, że nie miał nawet odpowiedniej szaty pogrzebowej: biskup Marengo podarował mu własną, aby mógł być godniej odziany. Jeden ze świadków wspomina, jak ks. Costantino pięknie wyglądał po śmierci, nawet lepiej niż za życia, w końcu uwolniony od „zmęczenia” i „napięcia”, które naznaczyły tak wiele dziesięcioleci.

Po wstępnym pogrzebie / nabożeństwie pożegnalnym w Diburgarh, czuwanie i uroczysty pogrzeb odbyły się w Shillong. Ludzie przybyli z taką ilością kwiatów, że wyglądało to jak procesja eucharystyczna. Tłum był ogromny, wielu przystąpiło do sakramentów Pojednania i Komunii: ta powszechna postawa zbliżenia się do Boga, nawet ze strony tych, którzy się od Niego odwrócili, była jednym z największych znaków towarzyszących śmierci ks. Constantio.